

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 22 GRUDNIA 1928 ROKU

NR 52/53

TREŚĆ NUMERU: To, co trwać powinno—*Natalja Jastrzębska*. W grudniową noc—*M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Boże Narodzenie”—*Lucyna Krzemieniecka*. Ojciec i syn — *Herminja Naglerowa*. Nowela Nr. 1241 — *Zdzisław Kleszczyński*. List sentymentalny — *Ł. Borowska*. Rafałek i Dulcinea (nowela) dok. — *Felicja Kruszevska*. Tradycja Bożego Narodzenia — *Janina Tuwanówna*. „Jul” — *Marja Dobrowolska*. Z teatrów — *H. N.* Z książek — *Z. M.* „Ład”—*Jadwiga Kieunarska*. Szopka współczesna—*Jadwiga Prażmowska*. Nowoczesna choinka—*M. Z.* O rybach na wilgę—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”, Dodatek „Mody i roboty”: Zarzutki wieczorowe — *Well*. Dodatek powieściowy „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.



W dniu Gwiazdki wigilijnej wszystkim naszym Czytelniczkom przesyłamy serdeczne życzenia. Oby Święta Bożego Narodzenia, od długich wieków będące symbolem uroczystości radosnej, upłynęły Wam jaknajmilej, przynosząc spełnienie pragnień i owocne rezultaty Waszych poczynań we wszelkich dobrych sprawach.

TO CO TRWAĆ POWINNO

Często bardzo słyszymy obecnie biadania nad zanikaniem tradycji.

Czy jest to tylko objaw dzisiejszej epoki? Zdaje się, że jednak—nie. Istniał on chyba zawsze, a wzmacniał się intensywniej w każdej dobie większych przewrotów i przewartościowywania pojęć i obyczajów.

Tak samo jest i teraz. Zmiany, wywołane wojną i zawrotnym postępowaniem mechanizacji życia, musiały odbić się na jego obyczajach i, co więcej — na psychice zbiorowej i każdej poszczególnej jednostki.

Są i liczne tradycje, których obserwować ściśle nie możemy i nie odczuwamy żadnej ku temu potrzeby.

Niech się w tem miejscu nie lękają i nie oburzają zbytnio bezwzględni zwolennicy wszystkich, en bloc przez przeszłość przekazanych obyczajów: odpadną tylko zbyt skomplikowane i nieistotne formy—te, które zawierają treść głęboką, pozostaną zawsze, gdyż psychika ludzka, aczkolwiek zmienia się i przetwarza z biegiem czasu, to z drugiej strony zachowuje przez wieki, wzmacniając go tylko w miarę coraz większego intelektualnego rozwoju—pierwiastek iskry Bożej. Wyływające z niej tradycje zachowamy napewno. Pomimo całej, ogromnej różnorodności obyczajów, związanych z rozmaitymi objawami naszego życia, podzielić je możemy zasadniczo na dwie kategorie: do pierwszej należą te, które ongi kształtowane były przez potrzeby i warunki życia i środowiska, do drugiej—takie, których źródła sięgają do najgłębszych wierzeń, ukochań i wzlotów duszy ludzkiej, dążącej do prawdy i dobra.

I te pozostaną. Zachować je musimy w ich treści, choćby nawet forma zewnętrzna uległa w nowych warunkach pewnym zmianom.

Na takim właśnie rozróżnieniu istoty i wartości tradycji polegać musi decyzja jej zachowania.

Istniały, np., wśród ludu wiejskiego liczne obyczaje, związane z dawnymi zabytkami wierzeń pogańskich, jak sobótki, dziady i t. p. Są to tradycje, które w rozwoju nowoczesnego życia muszą zagać — treść ich dawno uleciała.

Do tej samej kategorii należą u sfer zamożnych wielkie zjazdy, huczne przyjęcia z okazji świąt. Robiono je wtedy, gdy ludzie, rozrzućeni po całym kraju, pozbawionym środków komunikacji, wybierali sobie raz lub dwa do roku porę świąt, aby odwiedzić krewnych i znajomych, naradzić się w sprawach publicznych i zabawić. Nie mając, jak dziś, na każdym kroku: cukierni, restauracji i t. p., przygotowywano wówczas wielkie zapasy jadła i przysmaków, aby niemi uraczyć licznych gości.

Wszystko to obecnie straciło rację bytu i jest przeważnie tradycją martwą, dla większości ludzi nie-
możliwą do zachowania.

Ten fakt odpadania zewnętrznych form nie naruszył jednak wcale istoty tradycji świąt—ta pozostaje, stwarzając dla nowoczesnego człowieka inne, lecz niemniej, a może daleko więcej głębokie obowiązki zachowania jej w samej treści.

Święta Bożego Narodzenia mają dla każdego myślicy i czującego człowieka taką właśnie tradycję, w swej najgłębszej wartości zawsze istniejącą.

Urok wspomnień dziecięctwa i młodości, rodzinnego domu, pamięć tych—jakże licznych nieraz, drogich, którzy odeszli, naiwne czasem zewnętrznie, ale piękne i głębokie symbole obyczajowe—wszystko czyni z tych dni rocznicę miłą i radosną, choć już nie możemy, a może właśnie dlatego, że nie możemy, cieszyć się nią tak, jak za czasów dzieciństwa.

Zewnętrzne formy mogą być dla nas mniej lub więcej możliwe do zachowania. Niewielu z nas może zasiąść do wigilijnego stołu z dziewięciu lub jedenastu potrawami, ofiarowywać i otrzymywać wspańiałe podarki i przyjmować licznie zgromadzonych gości. Ale też nie na tem istota tych świąt polega.

Mamy zato o ileż więcej czasu od dawnych gospodarzy, których ugoszczenie wielkiego zjazdu absorbowowało tak, że często nie mieli chwili swobodnej. Mamy też przeważnie i umysły więcej wyrobione, głębsze, podatniejsze do analizowania i konkretyzowania przeżyć psychicznych, do zdawania sobie sprawy z naszego stosunku do wielkich zagadnień duchowych i naszych względem nich obowiązków.

Uczcijmy tą duchową strawą tradycję wielkiego Święta.

Stanoło ono kiedyś na progu dwóch światów, aby jeden z nich odrodzić. Wyciągnijmy z tego wielką naukę odrodzenia duchowego siebie i drugich.

Było symbolem miłości i zgody wszystkich klas społecznych, ucieleśnieniem rewelacyjnego postępu, podnoszącego do godności ludzkiej niewolnika, łączącego królów i pasterzy. Umiejmy zrozumieć ten symbol w zastosowaniu do różnic i walk obecnego czasu.

Stało się zapowiedzią idei pokoju, bo Ten, który się narodził, powiedzieć miał: „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Dziś, gdy znów potężnie powstaje dążenie do zniesienia z powierzchni świata wojen—wmyślmy się w te słowa i powtórzmy nie ustami, a sercem: „Pokój ludziom dobrej woli!” Napewno będziemy potem mniej zaciekli w sporach i mniej osobiste niechętni naszym przeciwnikom ideowym.

Boże Narodzenie przypomina nam, jak istota Sprawy Wielkiej rozwijała się wśród warunków najskromniejszych. Nauczmy się cenić codzienną pracę i dążyć do celu, pomimo zachodzącego nieraz braku wielkich środków.

Nie mogąc wyprawić przyjęć, pomyślmy o wzbogaceniu naszego umysłu, o odczuciu i zrozumieniu wiecznego Piękna w harmonji świata.

Boże Narodzenie jest jeszcze symbolem wesela. Wczujmy się w znaczenie tego symbolu radości duchowej. Jakże biedni materialnie, jak uciśnieni byli ci, którzy radowali się wówczas! Umiejmy rozbudzić w sobie zdolność duchowej pogody, mimo wszelkich

życiowych przeciwności i niedostatków. Zrozumiemy wartość szczerości i dobroci, szczęście podzielenia z drugimi naszych uczuć, symbol duchowego chleba — opłatka.

W ten sposób zachowamy istotę tradycji wielkiego i dobrego Święta. W ten sposób zachować ją możemy w tak innych warunkach nowoczesnego życia.

Natolija Jastrzębska



M. H. SZPYRKÓWNA

W GRUDNIOWĄ NOC

O dwa dalekie tysiące lat odsunęła się od nas noc, drżąca cichemi gwiazdami, które miały zblednąć przed jedną, niewidzialną pięknością i wielkością, gdy nagle około północy olśniła zdumione oczy mieszkańców małego miasteczka. Miasteczko spało i nie wiedziało nic, lub bardzo niewiele, o dziwnych wędrowcach, którzy przybyli zdaleka, za ledwie poprzedniego dnia, i przez czas jakiś daremnie szukali pomieszczenia. W stroskanym człowieku, który od domu do domu pytał, czyby nie było miejsca na postój dla niego i żony, niektórzy rozpoznali dawnego mieszkańca; młoda kobieta, która czekała u wylotu ulicy, zanim szukał, spowinięta całkowicie w zasłone, była nikomu nieznana. Zjazd był wielki, w miasteczku władze dokonywały spisu ludności w celach podatkowych; wielki urząd u bramy wjazdowej roił się od żołnierzy, urzędników, pisarzy, mieszkańców i przybyszów, którzy się musieli zapisywać, aby zdobyć karty legitymacyjne na wstęp do miasteczka. Każdy wolny kąt, nawet po najskromniejszych domkach, każda ława w gospodach były oddawna pozajmowane. A ponadto, wyrobnik, niemający nawet swego warsztatu i o którym wiadano, że pracował dla gospodarza, nie był niczem zbyt łakomem dla tych, którzyby jaki taki kąt wynająć mogli. Parę zwiniętych, grubych koców z wełny miejscowego wyrobu i trochę najkonieczniejszych w podróży rzeczy — to był cały dobytek, naładowany przy siodło osła, o którego się opierała czekająca na męża młoda kobieta. Tak podróżowali tylko najubożsi: Bóg z nimi. Może kto inny będzie miał jakiś wolny kąt?

Ale nikt nie kwapił się być innym: każdy był taki sam. Spekulatywna dusza starozakonna, patrząc w gwiazdy, migoczące nad cichą doliną, liczyła i wtedy, wieleby z nich można było wykuć srebrników? I kiedy zaczęło się ściemniać, a nikt i ni-

gdzie nie miał dla nich miejsca, małeńka karawana tułaczy musiała wyjść bez przytułku z miasteczka, tam, skąd nadeszła. Niel w rodzinnym gnieździe Józefa nie było dla nich miejsc!

A byli przecież ludźmi, czuli po ludzku. Gorzko czuli. Marja trzymała się ostatkiem sił: droga z Nazaretu do Betleem o tej porze roku, poprzez górskie cieśniny, gdzie chłód panował już przenikliwy i dokuczały wiatry, była tak męcząca! A nie wolno jej było się męczyć: jak najcenniejszy alabaster, była nosicielką balsamu, który miał uzdrowić rany jej narodu. Proroctwa świątyni, w której się wychowała, i objawienia anielskie potem, odkryły jej, że była wybraną na matkę zdawien oczekiwanego, wiekami ubłagiwanego u Pana Panów—Mesjasza, na którego czekał naród ciemiony, maltretowany, a jednak nie dający się zgnieść. Bo bezzawodne obietnice głosiły, że wypełni się kiedyś miara cierpień, i sprawiedliwości dziejowej stanie się zadość: Odkupiciel i Zbawiciel zstąpi na ziemię przez jedną z matek izraelskich; a nie masz i nie było króla potężniejszego, niż będzie ten! I oczy matek izraelskich, te ogniste, tęsknotą przepastne oczy, zwracały się przez wieki ku niebu z gorącą nadzieją, z palącym oczekiwaniem: któraż? Któraż dostąpi Łaski? I kapłani, i wielcy wtajemniczeni świątyni żydowskich w natchnionem skupieniu udawali się do Przybytku, aby poznać wolę nieba przed każdym małżeństwem, zawieraniem przez kobiety essen-skie z linji wybranej, na którą wskazywały proroctwa. Czy może się przyczynić do zejścia obiecanego Mesjasza? Gdyż wiedząc o fakcie, nie wiedzieli o czasie: zależało od ludzi, czy go przyspieszą świętością życia i gorącym pragnieniem, czy go oddalą obojętnością i grzechem. I oto małżeństwo Marji nareszcie było jak-gdyby bramą możliwości: święta różdżka z ołtarza zakwitła w czasie zaślubin. I Marja, cichutka dziewczyn-

ka ze świątyni, w piętnastym roku swego życia, poświęconego Bogu, ugięła się przed wolą kapłanów i rodziców: ugięła się, wbrew pierwotnej rozpaczy, że każą jej wrócić do świata i wstąpić w związki. Bo w oslepiającym świetle objawienia zostało jej otwartem przeznaczone wybraństwo: stać się matką Mesjasza. I która kobieta z całej Judei nie padłaby na twarz w nawale dumy i uniesienia, wiedząc, że ma się nią stać?

Ale w rewelacjach, które nam o Marji się przechowały, widać nie dumę i uniesienie: widać ogromne, zbożne skupienie. Dźwigała majestat Zbawcy!

A oto nie mieli oboje z Józefem, zdrożeni, zziębnięci i umęczeni, nawet kąta, gdzieby w cieple i spokoju mogła wypocząć, zebrać siły i skupić się wewnątrz, wobec rozpraszających kłopotów doraźnych: ona, której całe istnienie było jedną skupioną modlitwą o to, by mogła być bodaj ostatnią służką Błogosławionej, która stanie się matką Mesjasza — i która sama oto miała się stać Jego matką. I dziwne to, ale prawdziwe, że, w myśl ksiąg proroczych, jedynym schronieniem, na które jeszcze pozostawała nadzieja, było już nie ludzkie osiedle, ale pieczara na pastwiskach opodal miasteczka. Zwykle chronili się tam pasterze trzód betleemskich, a przecież był tam dach z kamienia nad głową i miejsce, aby rozłożwszy koce i podrzuciwszy je słomą, znaną w środku, zapewnić jaki taki nocleg nie pod gołym niebem.

Cokolwiek tu piszę, nie podaję, naturalnie, z własnej inwencji, bo nie byłby to temat stosowny do fantazji literackiej: tak widziała i tak opowiedziała sto lat temu siostra Katarzyna Emmerich, przedziwna męczennica widzeń krzyżowych, której co nocy danem było wędrować i przeżywać wszystko, odsunięte od nas o dwa tysiące lat, tak, jakby się działo dziś. Nie mam słów podziwu i nie będę miała nigdy dość słów zachwytu dla tajemniczych dróg, jakimi prowadziły ją moce niewidzialne przez te dzieje zamierzchłej przeszłości do jutrzeńki naszej ery. Prowadziły niewątpliwie i dlatego, aby nam, oddalonym o dwadzieścia wieków od żywej prawdy tych rzeczy, które się przecież jednak działy, postawić je znowu przed oczy w ich zmartwychwstałym realizmie, w ich ludzkim niejako cierpieniu i przebiegu. Nam, dzisiejszym, bardziej trafia do sceptycznego rozsądku i trzeźwej myśli to powszednie, bliskie każdemu ukazanie okoliczności, towarzyszących największemu z cudów świata — który o wiele przekracza nasz rozum. Ale który na tem codziennem właśnie podłożu staje się tem większy, im ono jest bardziej maleńkie, tem wspanialszy, im ono jest bardziej ubogie — tem bardziej groźny kosmicznym wstrząsem wszechświata w chwili zejścia Chrystusa, im bardziej proletariackie, by tak rzec, otoczenie było jego widownią na ziemi.

Ale że nigdy wielkość tego momentu nie byłaby pełna, gdyby był widziany tylko od strony ziemskiej, jasnowidząca widziała i to, co oglądał każdy z wtedy obecnych ludzi, i to nadto, czego nie dojrzeli

oczyma ciała, lub dojrzeli częściowo, nie chwytając wspaniałości wielkiego misterjum kosmicznego. Dla nich widzialna była tylko wspaniała gwiazda — owa Gwiazda Betleemska, na której pamiątkę do dziś... jadamy z pierwszą gwiazdką suty obiad rybny. Jakże przedziwnie degenerują wielkie i święte rocznice! Marja i Józef tego wieczoru spożyli trochę jarzyn i iniejskowe chlebki z owocami, pozatem świętując sabat w myśl obrządków. Wieczorem Marja poczyniła przygotowania. Była spokojna i nie chciała nikogo mieć przy sobie. Około północy uklękła na posłaniu i zaczęła się modlić. Modliła się tak gorąco, że powoli ogarnęło ją jakgdyby zachwycenie: małe ogniki zaczęły się skupiać koło niej i nad nią, tak, że, jak mówi Katarzyna: „Święty Józef, wchodząc do swojej izdebki (miał oddzieloną wnękę w końcu pieczary), ujrzał ją całą w płomieniach, porwaną zachwytem w modlitwie, tak, że padł na twarz i oddalił się do siebie, nie śmiąc się przybliżyć.“

A teraz oddajmy głos samej Katarzynie:

„— ...Jasność, otaczająca Dziewicę, stawała się coraz bardziej olśniewająca; światło lampy, zapalanej przez Józefa, nie było już widoczne. Klęcząca została jakgdyby uniesiona nad ziemię, pomiędzy nią a posłaniem widziałam wolną przestrzeń: jaśniała z rękoma skrzyżowanymi, pośród wzbierającej powodzi światłości, która przenikała jakgdyby żywym drzeniem nawet przedmioty martwe; skała i sklepienie pieczary zdawały się być nią nawskroś przepojone i wibrowały szczególnem życiem. Wreszcie sklepienie już przestało być widoczne: świetlista droga wypromieniowała się gdzieś z najwyższych głębin nieba, strumieniując się ku piersi Marji: drżały w niej promieniste Chwały niebieskie, przenikające się wzajem, które dopiero zbliżając się, przybierały kształty chorów anielskich: olśniewająca jasność zatopiła pieczarę...“ — „...Na posłaniu (na dywanie, dosłownie) ujrzałam malutkie Dzieciątko, leżące u kolan Marji, od którego biło takie światło, że zbladło wszystko, cokolwiek jaśniało dotąd. Marja narzuciła na Dzieciątko zasłonę, ale go nie wzięła w ramiona, ani otuliła: była jakby wciąż jeszcze porwana duchem w zachwycie.“

Po jakimś czasie Dzieciątko poruszyło się: usłyszałam cichutki płacz. Wtedy Marja jakgdyby wróciła do siebie: wzięła Maleństwo w ramiona, spowinięła w przygotowane obsłonki i przytuliła do piersi. I widziałam, jak mnóstwo aniołów o ludzkich kształtach, padłszy przed Panem Panów, oddało Mu cześć“.

Niech to żywe, ludzkie przypomnienie dziejów przedziwnych i ponadludzkiej miary, przedrze bodaj w godzinę Pasterki, ustalonej na pamiątkę Nocy Narodzenia, konwencjonalną obojętność współczesności, i pozwoli się przenieść duchem w obręb światłości w której się dokonywa od lat dwu tysięcy nieustający Cud.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

BOŻE NARODZENIE

Boże wielki i mocny zrodziłeś się, mieszkasz z nami,
masz jeden dzień życia dopiero i jesteś małym dzieckiem.
Jak my, naiwnie się cieszysz choinką i sreberkami,
jak naszych pól pastuszkowie, gwiazdy masz w oczach niebieskie.

I słowo Twe ciałem się stało i słowo się stało miłością —
nienawiść, niewiarę i gorycz skruszyłeś, jak mały opłatek.
W lasach choiny krzyknęły zieloną, ogromną radością,
a niebo gwiazdami, jak chlebem, podzielić się chciało ze światem.

Na polach nieznanych bitew zaciekli w walce żołnierze
stanęli nagle bezbronni, jak żołnierzyki z cyny.
Śpiewali Ci „W żłobie leży” i każdy nanowo uwierzył,
i spieczonemi ustami rozślawiał Twe narodziny.

A dzieci, pobladłe dzieci, tuliły swe buzie do szybek
ubogich sklepików, zgubionych na miasta dalekich krańcach,
gdzie błogosławi Cię, Boże, kłka pierników i rybek
i mały pajacyk z ołowiu i lalka, zmęczona tańcem.

A w naszych wioskach zapadłych są dziewcząt lniane warkoczce,
mak i kapusta z grzybami, pachnące na stole siano,
i chłopcy dwunastoletni, tęskniący, marzący o czymś,
i śniegi, śniegi najbielsze, na płotach porościełane.

Kaliny nad krzyżem szerniały i wierzby, wierzby płaczące,
i kolorowe Jasełka, historie o niecnym Herodzie,
i księżyc, jak kwiat paproci cudownie nad ziemią kwitnący,
i pieśni, śpiewane o zmierzchu, rzewniejsze, piękniejsze codzień...

I cóż możemy dziś więcej, jak słowem się Twojem podzielić,
drzwi naszych domów otworzyć i serca otworzyć narozcież,
Śniegiem najczystszej pokory myśl każdą dzisiaj wybielić —
i wszystko nanowo rozgrzeszyć w imię jedynej miłości.



HERMINJA NAGLEROWA

OJCIEC I SYN

(Fragment z powieści p. t. „Zawalidroga”)

Teraz to, co było krzywdą i poniżeniem — stało się męką. Zadużo, zadużo zebrało się naraz! Któż zdołałby już złączyć i uporządkować rozbieżne motywy?

Książki były w tym czasie niepotrzebne, bo wyprzedzały przemądrzałą konkluzję ledwo co zrodzone poznanie. Łączyły się zato strzępy własnych przeżyć, jakgdyby zebrane sztabką magnesu. Więc i ta jazda koleją, i ten pierwszy wieczór, ścięty chłodem obcości, i te wszystkie dnie szarpiącej gry, udawania, chytrych podjazdów, ślepego uderzania głową o mur, żarliwych pragnień... Nie można było podołać tej różnorodności spraw.

Franek postanawiał: — Trzeba, abym jaknajmniej wiedział i rozumiał!

I zdawało mu się na chwilę, że jest już naprawdę obojętny na wszystko, co się działo w domu ojca.

Przejażdżki konne były leniwe, niedbałe i bez celu. Koń mógł skubać trawę, żując gniewnie poprzeczkę wędzidła. Oczy jeźdźca patrzyły wtedy na krasne poletki chłopskich zagonów, na drzewa, goniące się skosem polnych dróg. Przechodzili jacyś ludzie z mruklwym witaniem, a gdzieś tam żółciły się mleczce i nikle, w zakurzoną trawę wdeptane, jaskry.

Franek włókł się noga za nogą po odległych, dokądś wiodących drogach, gdy właśnie poprzez obszary błękitnego powietrza przedzierał się dzwonek południa. Wierzchowiec miał wtedy swoją własną wolę i klusem pędził zpowrotem na folwark. Wiatr przesuwiał się po policzkach i szumił w uszach. I mogłaby być radość z pędu, ze słońca, z pomieszanych barw, gdyby nie uparte: — Poco tam wracać?

Pod wieczór konieczne były spotkania z Klimą. W moczarach żaby podnosiły larum, a wieś dmuchała gryzącym dymem. Klima wychodziła naprzeciw aż do mostku i bieliła się w ciemności jasnym perkalikiem sukni. Szli obok siebie milcząc, byle tylko kroki sprzymierzyć jednakim rytmem.

Klima podnosiła swoje dobre oczy i czekała na pierwsze słowo. Mówiło się o byle czem, bo już sama czerń nocy, przepalana ognikiem papierosa, zmuszała do słów, bodaj szarych i monotonnych, ale wibrujących w żywym głosie.

Czasem jednak łuk rozmowy napinał się niebezpiecznie i groził pęknięciem. Ale obawa przed milczeniem była — obawą przed ciemną nocą. Trzeba słyszeć ludzki głos, bo wiadomo, co szepnie niewidoczna przestrzeń. Wtedy Klima nawlekała, niby koraliki na sznurek, zwyczajne sprawy dzisiejsze i wczoraj-

aj, albo skubała prostą mowę i, niby szarpie, przykładła do ran, których bólu nie mogła się nawet domyślać.

I tak, gdy się już zeszło z wysokich parnasów, można było nie udawać i nic nie ukrywać przed przyjaciółką. Franek zapytał więc wprost o pannę Halę.

— Możesz mi to przecie powiedzieć!

Oczywiście — mogła. Hala była przedtem nauczycielką w powszechnej szkole w Jazłowcu. Na jej miejsce właśnie miała pójść Klima. Już chyba trzy lata jest tutaj i wszyscy się dziwią, że to tak długo trwa, bo dawniej zmieniały się kobiety w Kalińcach bardzo często. Trochę przykro było Klimie mówić o tych sprawach, ale może lepiej, może trzeba, żeby Franek wiedział o wszystkim.

Łagodne słowa Klimy paliły, jak krople wrzącego miodu. Ale to nic! Można wytrzymać, niech tylko jeszcze mówi o tem samem, dokładnie, szczegółowo.

Klima nic złego nie mogła powiedzieć o Hali. Dobra, miła. I zresztą należy dużo wyrozumieć, gdy w grę wchodzi miłość. Spokojnie, niczem pasjanse, wykladała teraz swoje filozofje życiowe. Wiedziała, jak takie sprawy wytłumaczyć, bo są naturalne, po prostu, jak powietrze, którem się oddycha.

— A ja, a co ze mną? — zapytał niemądrze Franek.

Klima utknęła. Zrozumiała przecież, o co szło Frankowi, i trzeba było chwilę namyslić się nad odpowiedzią. A potem, tak samo, jak inni ludzie, obłudnie i przemądrze usiłowała odrazu uśmierzyć krzywdę i mękę.

— Cóż na to poradzisz? Nie potrafisz zmienić ani tego, co się stało, ani tego, co jest.

Franek powiedział schrypniętym głosem:

— To nie takie proste, Klima. I nie tak łatwe do zniesienia.

I dopiero wtedy milczenie stało się tak czarne, jak noc. Nie znalazły się tak odrazu pouczające, uśmierzające wyrazy. Więc właśnie ciemność przywarła chłodnemi wargami do uszu i szeptała — szeptała — szeptała...

* * *

Nieobecność Hali oddawała jakby zpowrotem dom. Stało się tak swojsko, że można było wędrować po wszystkich pokojach, śpiewać, gwizdać, otwierać wedle swojej ochoty okna i patrzeć, jak sztywne liście agawy pną się wgórę, niby szerokie, obosieczne noże.

Ojciec przebierał ostrożnie w słowach, aby trwało zawieszenie broni. Ale Franek gotował się do ataku.

Przyszło to samo z siebie. Może nawet z nudów przy stole, a może z samej ochoty walki. Nagromadziło się przecie aż nazbyt wiele niechęci przeciw ojcu i teraz wydawały się już niepotrzebne te malutkie pogodzenia, które łagodziły, a właściwie trzymały na wodzy zuchwalstwo syna.

Franek, patrząc na ojca, stwierdzał — że już zawsze przestał lubić to wysokie, podłysiałe czoło, te oczy niebieskie, które zatajały przed synem brzydkie sprawy, te zmarszczki, wykreślające niby klinowem pismem nieodczytane tajemnice.

I dlatego należało może raczej brać ojca na tortury, by go zmusić do wyznań. Należało zdeptać ten niby-majestat, aby wszystko stało się jawne i wedle słuszności osądzone.

Długi list do matki zdawał relację niemal każdego szczegółu. Powinna wiedzieć, co się dzieje w Kalińcach. Ale w istocie miał list inne cele. Franek rozpytywał o sprawy, które dotąd były niejadalne, jak trujące grzyby. Co z majątkiem? Jak to sobie właśnie ułożyli w rozwodowych ugodach? Chce raz wiedzieć dokładnie!

Po napisaniu listu, jeszcze pełny brutalnej odwagi, zamierzał rozprawić się z ojcem. Siedzieli przy kolacji i milczenie niepokoiło się długo. Franek myślał ze złośliwą przekorą: Dobrze, że nie ma Hali. Może już tu wcale nie wróci i napisze do ojca: — Jesteś stary, nie kocham ciebie!

A wtedy — niewiadomo z jakiego zielonego strąka nadziei wyluskały się radosne projekty: że może wszystko się zmieni, że matka tu przyjedzie i pogodzą się...

— Pogodzą się dla mnie!

I już tak łatwo można sobie było wyobrazić, jak się tu pomieści między ojcem i matką, jak się ten dom zadomowi. Nie będzie to nic nadzwyczajnego, tyle tylko, że ustanie wzburzenie, które dramatyzuje teraz każdą powszednią sprawę. Uspokoją się chwile przedśenne, te najgorsze, bo zawiele wiedzące chwile. Będzie już dobrze, napewno będzie dobrze!

Zboku chmurzyła się wprawdzie myśl nad tem, co przecież jeszcze trwa, ale pośpiech wyobraźni omijał rzeczywistość.

Syn spojrział na ojca i milcząc ofiarowywał wieczystą zgodę. Cekał — kto powie pierwszy? Spazm skurczył serce, bo przecie wiadome było, że nie ojciec będzie mówił. Cóżby zresztą miał do powiedzenia, skoro wszystko wie, rozumie i przewidywał — syn?

Trzeba więc przemóc ten ciężki, zahaczający się bieg tchu, aby głos szedł równo i spokojnie.

Cisza wyścieliła się pod słowa, jak taca pod kształt owoców. Franek, płynąc wzrokiem po bieli obrusa, mówił najpierw o sobie, o swoich zamiarach. Tak, właśnie pisał o tem do matki. Po zdaniu matury jeszcze nie pomyślał poważnie, co dalej zrobi, ale

teraz, w Kalińcach (powiedział: w domu!), już postanowił. Chce pójść na agronomję i potem, oczywiście, pomagać ojcu. Wie napewno, że ma powołanie do takiej pracy.

Proste słowa Franka podrywała jednak potajemnie nurtująca gorączka. Bezwiednie buntował się zdyszany głos, a oczy parły ku wymykającym się oczom ojca. Ale już było się na dobrej drodze, więc należało jeszcze niejedno wyjawic, co dotąd kryło się bojaźliwie i nikczemnie. Koniecznie trzeba teraz powiedzieć o matce i ciężkich warunkach warszawskich.

Rozżaliły się wspomnienia nad pracą matki i nabrały jęklivej nuty, niby płacz małego dziecka. Bo dopiero teraz, gdy o tem mówił, pojął, jak głęboko tkwi wzruszenie, jak właściwie niema dostatecznych określeń na to, co jest w nim najważniejsze — na miłość do matki.

I stało się tak, że zwyczajne słowa nabrzmiały ekstazą, a wewnętrzny patos szarpał się w nieprzytomnych gestach. Niby wyciągał ręce: Oto jestem tu, między wami, nazawsze wasz! Jak błyskawica, łącząca odległe chmury! — I jak szybki bieg iskry objawiło się nagle coś, czego nie należy nazwać, tak jest wielkie i święte. Lecz właśnie trzeba się odważyć, trzeba wyrwać z ciemnoty — dźwięk! Pęka ściana, jak w migotliwej sekundzie wizji, i krzyczy, szumi, huczy objawiona prawda: synostwo!

Zapał spłynął, jak burzliwa woda w głębokie brzegi. Już wiedział. Niemal pokornie wyszeptywał to wszystko, co czuł i myślał. Wstydząc się, mówił, jak cierpiał. Rozrzewnienie posiało się mgłą między nim, a ojcem, i dobrze było nie widzieć nic i nawet już nic nie słyszeć. Wystarczy, że można w sobie samym rozpoznać te dziwne sprawy, wiążące się od nieznanych początków — po ważną obecną chwilę.

Ale właśnie odezwał się ojciec:

— Cóż ty wiesz o tem, co możesz wiedzieć o życiu, które jest powikłane i powichrzane?

Ojciec mówił cicho i miłosiernie, jakgdyby wybaczał, i dlatego tak trudno było odpowiedzieć: — Wiem więcej — znam przecie moją niewzruszoną prawdę. To, że jestem wśród was, że jestem!..

Na wargach ojca zadrgał zły uśmieszek:

— Czy to matka nakazała, abys mi o tem mówił?

Stało się wtedy tak ciężko i mroczno, jak w więzieniu. To ktoś niesprawiedliwy, a możny wymuszał kłamliwe zeznania, więc trzeba było zaprzeczać:

— Niel Niel!

— Bo widzisz, te sprawy nie dotyczą ciebie. To już my oboje — ja i twoja matka — załatwiliśmy ze sobą. Tak trzeba było. Tak musiało być.

— Ale ja?

I nagle zabrakło argumentów. Wzruszenia ochłodziły. Syn patrzył na ojca z cierpliwym spokojem. Mógłby mu teraz dopiero wszystko powiedzieć, teraz dopiero całą prawdę: — To twoja wina! — Ale jednocześnie przypomniał sobie wesoły, niematczyny śmiech matki. Przypomniał tamte, oczywiste winy.

— Ujmujesz to jeszcze dziecinnie — uśmiechnął się ojciec.

— Nie chcieliśmy ciebie skrzywdzić. Trochę przesadzasz, trochę się unosisz, ale ani mnie, ani — sądzę — matce nie możesz nic zarzucić. Myślimy przecież o tobie.

Franek słuchał uważnie. W istocie każde słowo ojca było prawdziwe, poparte faktami. I właśnie dlatego odczuwał wstyd, że jest — że muszą tak myśleć o nim, choć mieli tyle swoich spraw, swoich własnych, wśród których nie było właściwie miejsca dla niego. Jakże żałował teraz, że ośmieszył się wzruszeniem, patosem, całem tem wyznaniem! Jedno mądre i chłodne słowo ojca zadawało już klęskę, jeden lekceważący, a tak wszystkowiedny uśmieszek — poniżał. Franek poznawał tak bezsilną wszelkiej prawdy — ujawniającą się zbyt głośno i niepohamowanie. Ale jeszcze z resztkami wzburzenia myślał:

— Trzeba inaczej, trzeba jakoś inaczej dowieść i wykazać,

Ojciec mówił dalej: — Jesteś już przecie dorosły i mógłbyś wiele zrozumieć, gdybyś chciał.

Nie, to już nie były argumenty, to już nie przekonywało. I dlatego powiedział Franek głośno i zuchwale:

— Rozumiem — moją krzywdę! A wy — patrzył ojcu prosto w oczy — wy nie chcecie mnie dostrzec. Zwłaszcza ty. Aniś widział, jak rośłem, ani wiesz, co myślałem przez wszystkie lata. Czy sądzisz, że to nie ma żadnego znaczenia dla ciebie? Dla mnie były to sprawy ważne. Przez trzy lata nie chciałeś mnie nawet widzieć. I wiem — dlaczego. A teraz mam wszystko zrozumieć, na wszystko twoje się zgodzić, bo tak chcesz.

Franek widział, jak opalona twarz ojca stała się żółta, a policzki zmiały się skurczem gniewu. Pomy-

ślał, że teraz może się stać coś strasznego i serce stuknęło głośno jeden raz, poczem fala krwi napęliła gorącym kark, skronie i ręce, ściskające się w pięść. Był w pogotowiu.

Na dygocących wargach ojca wahały się jakieś słowa. Dobierał je długo i z namysłem, znowu jakby zbronzował z wysiłku, a pod oczyma zakwitła rdza rumieńców. Wzrokiem poszedł za dymem papierosa, krążącym w okolicy lampy. Ale i tak, nie patrząc na syna, wyczuwał zaczajony, wrogi gest. Trudno więc było wybrnąć z tej nieprzyjemnej, rozdrażniającej sytuacji.

Tak właśnie, jakby ugrzązł w błocie i usiłował niezręcznymi ruchami wydobyć się z lepkiej mazi. Kaliniecki zatracił z chwili na chwilę swoją mądrość, która dotąd w każdym niemal wypadku bywała niezawodna. Nic tu przecież nie mógł wymyślić, nic dostosować do rozumu tego dzikiego młodzieńca, którego daremnie usiłował przyswoić.

— Więc doprawdy, nigdy nie będziemy przyjaciółmi? — zapytał drwiąco.

Pięści Franka rozwarły się, a ręce bezsilne i zmęczone ułożyły się ciężko na brzegu stołu. Nie wyobrażał sobie, że w takiej chwili o to właśnie zapyta go ojciec i zresztą wcale nie mógł wiedzieć, czy szczerść, czy może tylko przemądra chytrść kryje się w tej propozycji. Ale żadne rozważania nie mogły już przemóc okrzyku radości:

— Chciałbym, żebyś mnie kochał!

Suche, lśniące powieki ojca spadły na oczy, a potem długo, opornie podnosiły się, odkrywając blade niebieskie źrenice. Patrzyły sztywno na syna. Ale choć tak nieruchome, jakby w jeden punkt wbite, wyzierały każdy szczegół twarzy, zalanej rumieńcem rozrzwienia.

Coś nieznanego dotąd, coś śmiesznie tkliwego, czego istoty nie można było tak na poczekaniu sprawdzić, ścisnęło serce. Odczuwało się to, jak zapowiedź choroby, już rozgrzanej gorączką. Tak samo zaciężyła głowa, tak samo chciało się uzalić i poskarżyć. Powiedział więc trochę zająkliwe:

— Franku, moje dziecko...



ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

NOVELA № 1241

Do biura P. I. W. A. (Pierwszej Intelktualnej Wytwórni Artystycznej) zadzwoniono z redakcji „Formingi“ o godzinie 15-tej minut 10, to znaczy, w porze, kiedy sekretarz P. I. W. A. normalnie urzęduje. Tak jest, sekretarz P. I. W. A. powinien był jeszcze, teoretycznie rzecz biorąc, urzędować. Ale traf chciał, że właśnie godzinę wcześniej z a u r g o w a n o go na miasto. Grono przyjaciół zatelefonowało po niego w sposób wręcz alarmujący.

— S. O. S.! — Przyjeżdżaj niezwłocznie na rybkę! — Czekamy u Szymona i Greckiego!

I pan Adam Powielacz, filar instytucji, wywiązał z biura piorunem,

Telefon „Formingi“ odebrał tedy woźny, Józef Szumny.

Słówko wyjaśnienia. Józef Szumny zastępował nieraz pana Powielacza i wywiązywał się z zastępstwa wprost genialnie. Tego dnia jednak, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, miał też w godzinach rannych jakąś „rybkę“. Nie był zupełnie trzeźwy. Wiadomo, przed świętami.

— Allo!

— Słucham.

— Biuro P. I. W. A.?

— Tak.

— Tu redakcja „Formingi“. Przy aparacie kierownik literacki, Okreskowany. Czy mogę prosić do aparatu kolegę Powielacza?

— Wyszed.

— Ach, to fatalnie... Mamy taką pilną sprawę... A kto tam jest z personelu?

— Z per..sonelu? Jezdem ja, Szumny.

— Okreskowany. Bardzo mi miło. Mam taką sprawę do pana Kolegi...

— Jazda!

— Potrzeba nam na gwałt noweli gwiazdkowej, na 300 do 400-tu wierszy.

— Jest! I nie jedna, paniedziejski, a tuzin!

— Wybornie. Bo nam zaraz potrzeba. Nasi zwykli dostawcy wszyscy się, psiakrew, pochorowali, a ja, doprawdy, nie mam do tego głowy...

— Panu... ze śniegiem, czy bez?

— Proszę?

— Mówię: ze śniegiem, czy bez?

— Nie rozumiem,

— O, Jezu, jaki pan nierozumiejący! Pytam, jaka ma być ta nowela? Ze śniegiem, z polskim lasem i z choinami, czy zagraniczna gwiazdkowa, z jendykiem i z reweljonem?

— Aaaa... rozumiem! Hm... A jak szanowny pan radzi?

— Jabym, paniedziejski, radził ze śniegiem. Tętam, francuskie Gwiazdki, i inne zamorskie, do chrzanu. Słyszane rzeczy, żeby na Boże Narodzenie drukować nowełe mięsne?! Polska jezd katolicki kraj i każdy w te pore woli z postem. Chyba, że socjalista. Nie?

W telefonie zapanowała przez sekundę cisza, poczem literacki kierownik „Formingi“ zapytał, zlekka zaniepokojony:

— Pardon. Czy ja nie rozmawiam przypadkiem... z panem woźnym?

— Z woźnym, owszem, Bo co?

— Hm...

Ubodło Szumnego to wahanie się i to chrząknięcie w tubie.

— Jeżeli pan myślisz, że ja panu nie mogę tak samo dobrze sprzedać towaru, jak pan Powielacz, to nie trza piasku do herbaty. Dzwon pan jutro. Adje.

— Zaraz, zaraz! Niech się pan, kochany panie Woźny, nie obraża. Nowela jest nam, widzi pan, potrzebna zaraz. Musimy ją dziś jeszcze złożyć, bo jutro wszyscy zecerzy maszynkowi będą pijani w sztok... Sam pan wiesz.

— Wiem. Na to święta! Tylko poco w takim razie, paniedziejski, tyle fasonu? Wiem, gdzie co leży, na jakiej półce. Każde szczegółę wiem. Mogie pana zreferować w jedne sekunde! Z dzieckiem panu, czy bez dziecka?

— Jakto?

— No, mówię: z dzieckiem, czy bez dziecka? Mamy i tak, i tak. Numer 1235 sama matka idzie bez las, płacząca, a potem marznie. Numer 1236 idzie z malcem.

— I też marznie?

— Musowo.

— Hm... A niema tam czasem czegoś weselszego?

— Jakto niema? Musi być! O, naprzykład dwa numery dalej, zaczyna się serja „Pogodne“. Dobry jest numer 1238. Bardzo dobry!

— No?

— Wigilja morowa... Sześć gatunków ryby... Śledź, szczupak, karaś, leszcz, karp i sandacz, paniedziejski... Węgierskie wino po pradziadku kasztelanie... Fajno, tylko młodego dziedzica brak...

— Dlaczego brak?

— Złamał nogie na polowaniu i tera go niosą...

— A czegoś jeszcze weselszego pan niema?

— Pytanie! Od numeru 1240-go idzie serja „Wesołe“.

— O! Coś dla nas!

— Mamy takie wigilje u jednych hrabiów, uważa pan. Francuska mademoiselle nie wie, że dzieci ją bardzo kochają i dopiero się dziwi, kiedy znajduje na swoim talerzu dwa brylanty! Jeden, pod serwetą, od hrabiego, w sekrecie przed żoną. A drugi od nich...

— Od kogo?

— Od dzieci hrabskich, no! Duży, jak orzech!

— ?

— One go skradły swojej matce, hrabini.

— Eeeee?

— Jak Boga kocham!

— Lepiej co innego.

— Ale pan wybredny, słowo daję! Inne redakcje biorą, co jest.

— „Forminga“ jest pismem o wysokim poziomie literackim, mój panie.

— Wiem, wiem. Co to u nas było śmiechu w zeszłym miesiącu, kiedy pan Powielacz przyniósł numer „Formingi“ i pokazywał okładki... Ha, ha, ha

— Wiem, z tym hipopotamem. Każdemu się może zdarzyć.

— Ha, ha, ha! — „W swej niebezpiecznej podróży po morzach polarnych spotykał kapitan Scott całe stada tych potężnych ssaków“—ha, ha, ha!

— Zwykle przeoczenie korektora. Metrampaż popłatał podpisy. Chodziło, naturalnie, o lwa morskigo!

— Pies z nim polkę tańczył, z waszym lwem morskim! Oj, było śmiechu...

— Schowaj pan sobie swoje śmiechy na inną okazję!—Jeszcze jakie nowele ma szanowne P.I.W.O.?

— Pan sobie naszym piwem gardła nie płuczył! Żeby nie my, toby połowa pism warszawskich i wszystkie prowincjonalne szlag trafił! Ten Rubinstein, co nas pierwszy wymyślił przed 25-ciu laty, za czasów Powszechnej Wystawy Krajowej, to był cichy filantrop! Nie mielibyście literackiego materiału, i już! A teraz, krótkim zdaniem: chcesz pan te nowele gwiazdkową z francuzką?

— I ze skradzionym brylantem? Mercil

— To bierz pan w takim razie numer 1241. Szlagier!

— O co tam chodzi?

— Poznali się w Egipcie i dali sobie słowo, że zjedzą razem wigilję, bo ona jest okrągła wdowa, a on okrągły sierota. I z uderzeniem, uważa pan, godziny 5-tej, kiedy gwiazdy się pokazują i wszystko, jak należy, słyhać sanie przed pałacem i on staje na progu!

— Dobrze.

— A potem on ją całuje w rękę, i łamie się z nią opłatkiem, i siadają do stołu, i piją barszcz, a ona się czerwieni i pyta, czy może jeszcze barszczu chce? A on na to, że barszczu nie, tylko, że jej chce za żonę. No, i zaręczają się. On ma w Łodzi stryja, wielkiego fabrykanta. Jadą po błogosławieństwo. Cztery wierszy, jak obszył.

— Biorę! Ile?

— Poczekaj pan, zaraz zobaczę...

Szumny poszedł trochę chwiejnym krokiem do przyległego pokoju i sprawdził w cenniku. Numer 1241 wyceniony był na 300 złotych, ale na marginesie znajdowała się adnotacja ołówkiem: „Po 20.XII można sprzedać z rabatem 25%“. Wrócił do aparatu.

— Allo! Pan jest?

— Jestem, jestem.

— Numer 1241 — 300 złotych.

— Trochę słono!

— A panbyś chciał mieć miasto Egipt, i okrągłą wdowę, i sierotę, i barszcz z uszkami — za ile?

— Dam 200.

— Ani mowy. Nas samych drożej kosztowało. Wie pan, ile daliśmy Stowarzyszeniu Chałupników Literackich za tuzin nowel gwiazdkowych? Dwa razy tyle, co w zeszłym roku! Jak Boga kocham!

— No, niech będzie 225.

— 250 — i ani grosza taniej.

— No, dobrze. Biorę. Zaraz panu przysię czek. Proszę wydać oddawcy maszynopis.

— Nie inaczej, jak za gotówkę! Panna Wsiadło, nasza inkasentka, pojechała na narty do Krynicy. Nie ma komu godzinami w P. K. O. wystawać za czekiem.

— To może po świętach?

— Innemu pan to powiedz, nie mnie!

— Koniecznie gotówką?

— Koniecznie.

W tubie rozległo się westchnienie.

— Przysię gotówkę. I niech pana, panie woźny, szlag trafi!

— Nawzajem. Wesołych świąt!

Niewiadomo, czy alkohole, które Józef Szumny konsumował tego dnia w barze pod Syreną, były takie tęgie,—czy też genialnemu woźnemu uderzył do głowy aromat trzydniowych feryj? Dość, że stała się rzecz okropna. W gwiazdkowym numerze „Formingi“ wydrukowano nowelę... wielkanocną! Przedtem tego, oczywiście, nikt nie czytał, bo odkąd istnieje prasa, w żadnej redakcji nie czytano nigdy literackiego odcińka. Korektor korygował mechanicznie, łamano mechanicznie, rewizję przejrano mechanicznie, odbito, rzecz prosta, także mechanicznie...

Nowela, zatytułowana „Gość z Egiptu“, przypominała zresztą, jak dwie krople wody, nowelę, której treść Szumny ze wszystkimi detalami opowiedział nieszczęsnemu kierownikowi literackiemu „Formingi“. Tylko, gdzie tam był śnieg, tu były bzy; gdzie tam była strucla z makiem, tu był mazurek czekoladowy... Kto mógł przewidzieć, że się Szumnemu popłaczą dwie nowele tego samego pochodzenia („Stowarzyszenie Chałupników Literackich“) i że wyda gońcowi „Formingi“ utwór z teki, zapobiegliwie i przezornie przygotowywanej na cały rok bieżący?...

Boże Narodzenie było na półce A-I, a Wielkanoc na półce A-II...

S. BOROWSKA

LIST SENTYMENTALNY

Piszę do Ciebie pierwszy i ostatni raz po dziesięciu latach rozłąki i nieomal że zapomnienia

Nie mam do Ciebie interesu — ale list ten, pozornie bezsensowny i bezprawny, będziesz musiał przeczytać...

Jeszcze dwa dni temu nie uwierzyłabym wcale, gdyby mnie ktoś zapewniał, że oto w dzień wigilii Bożego Narodzenia pisać będę do Ciebie i wspominać dawne historie.

Bez długich wstępów. Wczoraj przyszedłeś do mnie astralnie. Żłę mówię: przywleczono Cię do mnie astralnie.

Przy stole ogólnym, w pensjonacie, otoczonym górami, dokąd schroniłam się tego roku umyślnie na święta Bożego Narodzenia, nie wykorzystawszy w tym celu całkowicie letniego urlopu, — przy stole tym wczoraj wieczorem padło Twoje imię. Rzucił je ktoś znajomy Tobie, a obcy mnie, przygodny pensjonarz willi Bukowej, raczej nieżyczliwy, niż przyjazny. Podchwycił je ktoś inny i znów inny. Znano Ciebie. Stałeś się tematem rozmowy.

W domu, od chwili naszego zerwania, określano Ciebie omówieniami. Matka do śmierci wzdychała: „Ten podły człowiek, który Maryni złamał życie...“ Stryj z przekąsem cedził: „ten twój galopant“... Kasia, lubiąca być dowcipną, mawiała: „pan o długiej twarzy“.

I tak wyrobiło się we mnie niejasne, acz głębokie przekonanie, że dźwięk Twego imienia jest moja i tylko moja własnością.

Aż tu wczoraj, głośno, przy stole ogólnym, oznajmiono wszystkim, że bardzo utyleś...

że od kiedy ożeniłeś się, nie jesteś już taki interesujący...

że fatalnie dobierasz krawaty do całości ubrania... (mój Boże! za moich czasów byłeś oficerem, teraz już oddawna jesteś „w cywilu“).

że w miłości musisz być ordynarny, że nie posiadasz najmniejszych wartości na kochanka, raczej na męża, bo dobrze zarabiasz...

Potem nastąpiła nad wyraz niesmaczna anegdota o Twojem małżeństwie i jeszcze bardziej chyba złośliwa o Twem materialnem powodzeniu. Nakoniec pochwała Twoich dwóch popielatych chartów, ślicznego synka, pięknej i sprytnej żony...

Słowa te, jak kamienie, waliły w cienką ścianę, za którą była moja tajemnica. Zaledwie przeciężyłam się o tyle, aby podnieść oczy na mówiących. Nikt nie patrzył na mnie. Nikt nie podejrzewał możliwości jakiegokolwiek nici łącznej między świetnym właścicielem dwóch popielatych chartów,

i miotłą biurową, o twarzy przywidłej madonny...

Ta głośna rozmowa o Tobie obcych, nieżyczliwych ludzi stała się dla mnie jakby pozdrowieniem od Ciebie. Jedynem i żalosnem pozdrowieniem po dziesięciu latach milczenia.

Cały potem wieczór i dzień dzisiejszy musiałam myśleć o Tobie, choć nie czynię tego już od dawna.

Było mi czegoś Ciebie strasznie żal. Mówiłam sobie bez śmiechu, te śmieszne słowa: — jaki on biedny, że ja go już nie kocham!

Przypomniłam mi się rok naszego narzeczeństwa, nasze rozmowy i zabawy. Jedna z nich polegała na telepatycznym przesyłaniu sobie nawzajem dobrych myśli. Nie wiem, czy pamiętasz, jak umówiliśmy się kiedyś, że każde z nas rano, przekraczając próg domu i śpiesząc do pracy, prześle drugiemu dobrą myśl.

Moje depesze zaczynały się zawsze od słów: „Bądź dobrym“...

Jakież to dawne dzieje!

Dziś mówią Tobie słowami, lub w drodze telepatji: „Kocham Ciebie. Tęsknię za Tobą. Wróć wcześniej. Daj mi pieniędzy. Chodźmy do kina. Obiad ostygnie...“ ale z wszelką pewnością nie mówi nikt Tobie tamtych bezsensownych słów z przed dziesięciu lat. Może to i lepiej.

Nie dopatruj się w tem tylko morału... Mój Boże! skąd ja... Ty jesteś człowiek, który zrozumiał prawa życia i wziął to życie „za mordę“; ja należę stale, i chyba już nazawsze, do tych, których jest „za dużo“.

Chciałabym tylko wiedzieć, czy tak już naprawdę i bez najmniejszej luki pasujecie do siebie, Ty i ona? Czy to, co było mną i co ze mną przyszło, wrzuciłeś wraz z listami moimi do pieca? Czy zostało to skasowane, jako omyłka?...

Nie, nawet tego już naprawdę nie chciałabym wiedzieć. Cóż ja jestem? Mały, niewesoły bezsens na pograniczu między twardymi prawami życia i absurdem...

Nie zazdroszczę wcale Twojej żonie ani tego miejsca, które dla niej robisz łokciami wśród tłumu, ani tego, że zawsze i do wszystkich może powiedzieć o Tobie „mój mąż“, ani tego, że mieszka w domu, do którego Ty powracasz stale po najdłuższej trwającej podróży. Nie zazdroszczę jej nawet Twych wszystkich serdecznych gestów i słów. Znałam je kiedyś, są pewnie te same. Trudnoż bo dla każdej nowej kobiety komponować inne formułki miłosnych wynurzeń!

Na szczęście, nie pamiętam tego zupełnie. Pozostały mi tylko dwa Twoje oryginalne powiedzenia i tych już chyba nie powtórzyłeś nawet jej...

Raz, było to w dzień wigilii Bożego Narodzenia, którą spędzałeś w Warszawie. Po wieczery i wysłuchaniu kolend, które Kazia śpiewała ze stryjem, powiedziałeś do mnie:

— Muszę już iść...

Miałam zwyczaj protestować zawsze w takich chwilach:

— Zostań jeszcze pięć minut...

— Kiedy już bardzo późno, — broniłeś się.

— Jeszcze pięć minut podług zegarka, — powiedziałam z uporem.

Wtedy wybuchnąłeś:

— Codzień ta sama historia! Kiedy mam iść do domu, każesz mi czekać pięć minut podług zegarka. Co znaczą te pięć minut? Na co mam czekać? aż ty trzy razy na mojej szablach objedziesz dookoła pokoju?

Byłam bardzo skonfundowana. Obraz mnie, jeżdżącej na szablach, wydał mi się „groteskowym”. Długo potem chowałam do Ciebie urazę.

Drugie Twoje powiedzenie datuje z tegoż samego roku i w czasie tychże Świąt Bożego Narodzenia.

Jedną z naszych, gorszących dla mamy, zabaw było „wieszanie się”. Polegało na tem, że ja spletałam mocno palce obu rąk i kłamrę taką zarzucałam na brzeg Twego ramienia, dochodzącego do wysokości mego czoła. Potem odrywałam nogi od ziemi i zawisałam na Tobie całym ciężarem. Ty zaś, udając siłacza, spacerowałeś z tym „wisiorkiem” równo i spokojnie.

W tygodniu świątecznym wracaliśmy z teatru. Było wyjątkowo późno i nie mogliśmy znaleźć najędźniejszego wehikułu. Tramwaj zaś nie nadchodził, jak zwykle. Znudzona czekaniem, spytałam Ciebie cicho:

— Czy można się powiesić?

A Ty odpowiedziałeś głośno:

— Powiesz się...

Nie zapomnę nigdy zdumionych oczu naszego sąsiada, oczekującego również na tramwaj. Elegancki oficer, mówiący do towarzyszącej mu kobiety „powiesz się”... to zgrzyt. Jeszcze większym zgrzytem był fakt, że ona się naprawdę powiesiła. Wróciliśmy do domu piechotą, skompromitowani doszczętnie.

— No, dobrze to wszystko, ale co z tego? — zapytasz.

Otóż, dowiedz się, że Święta Bożego Narodze-

nia, to nie są dobre Święta. Aby je spędzić należy, trzeba być szczęśliwym. Trzeba w żywym ludzkim inwentarzu swojego domu mieć coś, wobec czego życie jest znacznie mniejszą wartością.

Jeżeli się nie ma rodziny, lepiej przespać wigilijną wieczór, a nawet i dni następne. Ale to niemożliwe. Zawsze się znajdzie ktoś zanadto życzliwy, kto zechce przełamać z tobą opłatek wigilijny.

Rzecz niemiła dla człowieka z kategorii tych, których jest za dużo.

Oto przyczyna, dla której już od trzech lat spędzam Święta Bożego Narodzenia wśród zupełnie obcych ludzi, w jakimś przygodnym pensjonacie.

Ach, owszem, jest tu i wieczera wigilijna i nastrój rodzinno-pensjonatowy, najzupełniej dla nerwów nieszkodliwy. Nie robi mi najmniejszej przykrości fakt, że właścicielka pensjonatu, przeżyła pani Helena, ofiaruje mi na gwiazdkę rękawiczki włóczkowe własnej roboty. Jakiś świetny major zasiądzie do fortepianu, jakaś elegancka dama zaśpiewa kolendę:

„Bóg się rodzi, — moc truchleje”...

To nie zaboli i łez nie wycisnie. Takie święta powinni mieć ci, których jest za dużo.

Dziś o godzinie szóstej będzie wszystko tak, jak się odbywało trzy lata temu, z malutkimi zmianami.

Ja będę siedziała przy stole, uśmiechnięta trochę smutnie, trochę uprzejmie jak „uboga krewna”. Będę jadła ryby, orzechy i pierniki, lub ostrzem noża układała na obrusie krzyżyki z okruszynek chleba (choć to taki zły omen).

Ale gdy zapalą świeczki na choince, uczynię coś, czego nigdy dotąd nie czyniłam. Skoczę myślami z mojej uśmiechniętej uprzejmie, ziemskiej, widomej skorupy i pójdę szukać Twego domu. Wiem, że stoi za miastem i w ogrodzie, przeskoczę sztachety i zbliżę się do okien.

Cóż, widok zwykły. Ty, Twoja żona, Twój synek, może też jaki przygodny, beżenny przyjaciel domu. Może tylko Wy sami. Przyłożę cichutko twarz do szyby.

Och! nie po to, aby podpatrywać Wasze szczęście, lub urzec złemi oczami Twoje różowe, manna kaszą upasione dziecko.

Ja chcę także mieć gwiazdkę. Chcę mieć złudzenie, że nie stoję za szybą, że z błahego jakiegoś tytułu należę do tej gromady ludzi, którymi Ty się opiekujesz, i że tu, w obrębie tego domu i w promieniu działania Twojej indywidualności nic mnie złego spotkać nie może.



FELICJA KRUSZEWSKA

4

RAFAŁEK I DULCINEA

(nowela)

Obiadek po przechadzce smakował pannie Walerji doskonale, a nadprogramowe ciasteczko z kremem ucieszyło mile jej podniebienie.

Wracając, panna Walerja wstąpiła do cukierni po dziesięć deka pomadek. Była tak dobrotliwie nastrojona, że z żalem prawie pomyślała o przepadłych muchach:

— Biedactwa! Takie toto było wdzięczne, ruchliwe, tak lubiło pomadkowe okrucy! Biedny Rafałek! Biedna Dulcinea! Musiały widocznie dokonać brzękliwego żywota i zapaść gdzieś za sprzety.

Idąc rażnym kroczeniem, panna Walerja deptała różowe plamy słoneczne, leżące na chodniku. Cóż ją obchodziło to słońce! Tak niedaleko był już zaciszny pokój, ciepły piec, torebka pomadek i książki. Ach, znów książkil!

Panna Walerja przyspieszyła kroku.

Słońce niedługo zazwyczaj gościło w pokoju panny Walerji. To też, kiedy otworzyła drzwi, za białą firanką widniał kawałek ducha i siniejące zleпка powietrze. Panna Walerja zrzuciła płaszcz, ciągle ciesząc się statecznym spokojem swoich ruchów. Dawniej nie zwracała na to, oczywiście, uwagi; ale odkąd poznała tamten pośpiech, ów pęd po schodach wdół i powrót, gniotący barki ciężarem zmęczenia, — radowała się wszystkiemu, co było tak zwykle.

Panna Walerja zsunęła szczerzej firanki, postawiła lampę w pobliżu pieca i otworzyła torebkę z pomadkami. Potem sięgnęła po książkę. Spojrzała na okładkę: — przekład. Przygotowała się na coś egzotycznego. Z ciekawością rozchyliła karty. Paryż? Tak. To będzie zachwycająca powieść!

Ale panna Walerja omyliła się. Nie była to żadna z tych powieści, które się czyta gładko i z zapałem, w które wskakuje się od razu, aby płynąć wartko z prądem wydarzeń. Zły duch podsunął chyba tę książkę pannie Walerji. Była to spowiedź umęczonej szaleństwem duszy. Słowa człowieka, który przechodził nieraz na tamtą stronę.

Panna Walerja przeczytała parę pierwszych zdań i, zawiedziona, chciała już tę „powieść“ odłożyć na bok. Ale zły duch widocznie sprawił, że nie uczyniła tego natychmiast.

Lampa paliła się jaśniutko w pokoju panny Walerji. Zmierzch za oknem zapadał. Budzik tykał, jak zawsze, spokojnie. Przyjemne ciepło szło od pieca i ogrzewało plecy panny Walerji. A panna Walerja zanurzała się mozolnie w gąszcz słów, z których każde przejmowało ją dreszczem trwogi.

Więc można tak — można wyjść poza wszelkie granice, które się zamyka ciasno zwykle, normalne życie, i stanąć bez osłony możliwego, bez kawałka ziemi pod stopą na przeciągu wichrów i burz, twarzą w twarz z czarną, przeraźliwą trwogą!

Rumieniec okraślił lica panny Walerji. Piec oszalał chyba i zionął prawdziwym żarem. Pomadki różowiły się nietknięte w kolorowej torebce. Wreszcie panna Walerja wyrwała się, przerażona, kleszczom męki i zamknęła na chwilę osłupiałe oczy.

Bzz...

Biedna panna Walerja siłą zdławiła krzyk w ustach. W ciszy pokoju to przeciągłe brzęczenie zabrzmiało dziwnie przeraźliwie. Tuż nad głową panny Walerji uwijała się znajoma parka. Oto gruby Rafałek, a oto wiotka Dulcinea. Nie przepadły: przetrwały, przyczajone gdzieś w kącie. Zjawiły się teraz właśnie, w chwili, kiedy na pannę Walerję zwała się niesłychana męczarnia tamtego mózgu.

Panna Walerja bez ruchu przypatrywała się płasom skrzydlatej pary. Nie była zupełnie pewna, czy nie stała się igraszką naprężonych nerwów, czy pojawienie się tych much po tak długiej przerwie było możliwe. Ale jednego była pewna: że siedzi zupełnie bezbronna w swoim fotelu, w miłym zaciszu ciepłego pokoju i dygoce od potwornego zimna. I jeszcze: że się boi.

Panna Walerja powiodła wzrokiem dookoła, aby zaczerpnąć uspokojenia od widoku znajomych sprzętów. — Tak. To jest łóżko, to kilimek, to szafa. A ja siedzę tu spokojnie pod piecem i czytam. A to są muchy, dwie zwyczajne muchy.

Panna Walerja powiedziała to wszystko zupełnie głośno. Prawdziwe szczęście, że jej nikt nie słyszał — własny jednak głos panny Walerji przeraził ją jeszcze więcej. — Oto do czego doszło — pomyślała resztką sił — mówię do siebie na głos, jak prawdziwa warjotka. Nie, to już niemożliwe!

A potem przyszła jedna chwileczka. Króciutka. Panna Walerja chciała właśnie wstać z fotela. Bez żadnego zresztą określonego celu. Ot, żeby ten głupi nastrój przerwać. Uniosła się do połowy i usiadła zpowrotem. Chwileczka przeszła. Ale podczas tej chwileczki panna Walerja poczuła nagle porażkę, że wszystko jest możliwe. No tak: wszystko. Żadnych granic, żadnej obrony. Siedzi tu niby z książką w swoim pokoju. Pokój? Cztery szczerze zamknięte ściany? Nieprawda! Stoi na skrzyżowaniu spletnych dróg. W samym środku nowego, nieznanego świata. Podniosła oczy do góry. Sufit? Nieprawda!

Fale pędzące nad głową. Ciężar nieba, które nie ma końca. Spojrzała za siebie. Okno? Nieprawda! Czułość niezgłębiona, wiodąca poprzez świat w straszliwość istnienia. Spojrzała w bok. Lustro? Okno! Okienko srebrzyste, otwierające się na tamto — Niewiadome.

Panna Walerja położyła ręce na oczach, ciężko dysząc. Poraz pierwszy pierś jej zachwyciła jakiś dech wielkości. Można powiedzieć, że nagle rozstąpiły się wszelkie zapory i panna Walerja poczuła świat. Trwało to może sekundę, może parę godzin. A potem wydało się pannie Walerji, że ją porywają skłębione fale, że dostała się w zawrotny wir. Mógł to być silny zawrót głowy. Panna Walerja instynktownie wpiła palce w poręczę fotela.

Ocknęła się wreszcie gdzieś daleko. Tego pocucia dalekości nie potrafiłaby dokładnie określić. Gdyby mogła wogóle szukać i znaleźć jakieś wyrazy, może i nie odnalazłaby tych dwóch: poza sobą. Panna Walerja nie drgnęła nawet, nie wstała ze swego fotela, a jednak spojrzała na wszystko z tej ogromnej dali. Tak. Jakiś świat, jakaś ziemia, jakiś kraj i gdzieś w tym kraju ona, panna Walerja. Żyje oto, ileż milionów razy mniejsza od Rafałka i Dulcinei! Kręci się, drepcze, zjada pomadki — jak te muchy. Zabawne! Zabawne!

Niewiadomo, co się stało z czasem. Panna Walerja przesiedziała cały wieczór w fotelu, ciągle nie mogąc wrócić. A kiedy, o którejś tam godzinie nocy, rozebrała się machinalnie i położyła do łóżka, usnęła odrazu. Tylko, że nie wróciła i wtedy jeszcze, bo sen jej był również daleki.

W poniedziałek rano budzik nie zatrzeszczał zupełnie. Panna Walerja zapomniała, oczywiście, nakręcić go wieczorem. Skutkiem tego spóźniła się do biura. (Biuro? Cóż to jest właściwie biuro? Zabawne!).

W biurze poraz pierwszy panna Walerja spojrzała na wszystko nowymi, dalekimi oczami. Maszyna, panna Helena, stoły z papierami, wygniecione krzesło, wielka księga cyfr. Siedzą oto ludzie w takiej klitce codziennie od 9-ej do 5-ej, wypisują jakieś liczby, grzechoczą na maszynie — komiczne!

Szef przez grzeczność nie okazał niezadowolenia pannie Walerji. Owszem, rozpoczął uprzejmą rozmowę. Od jutra zaczną się popołudniówki, bo to przecie grudzień. Należy opracować bilans.

— Bilans — myśli panna Walerja — ach, tak, bilans. Co za śmieszne słowo. Hm — bilans.

— Panno Walerjo!

Panna Walerja drgnęła i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Prostu nie słyszała zupełnie dalszej przemowy szefa. Szef coś tam jeszcze powtórzył. Panna Walerja nic z tego nie zrozumiała. Tym razem ze strachu. Jakże to mogła tak się zagapić?

Szef się uśmiechnął uprzejmie a kwaśno. — Pani nie czuje się dziś dobrze, panno Walerjo!

Panna Walerja oprzytomniała, rzekłbyś, wróciła nareszcie. Z tyłu dochodził stłumiony chichot Helen-

ki. Drżącym głosem poprosiła szefa o przebaczenie. Tak. Dziś nie czuje się dobrze. Silny ból głowy i zmęczenie. Nie, dziękuje bardzo, nie pójdzie do domu, tyle ma przecie roboty. A ten ból głowy — ach, tak, naturalnie — „kogutek“.

Perspektywa natychmiastowego powrotu do swego pokoju przeraziła pannę Walerję. Niel Niel!

Przestanie wreszcie myśleć o tych głupstwach. Mocno uchwyci i powiąże to wszystko, co się tu tak nieznacznie rozpręgło. Poukłada w należne kratki. Znowu wszystko będzie niewzruszone, mocne, niezmiennie. Znowu wszystko będzie normalne.

Po wyjściu szefa panna Walerja wzięła spis abonentów telefonicznych i wypisała ukradkiem na karteczce adres znanego neurologa.

Po obiedzie, w godzinach przyjęć, poszła do tego doktora. Energicznie, śmiało, bez żadnych tam wahań poco i naco. Niech się to wreszcie raz rozstrzygnie. Zupełnie spokojna usiadła w poczekalni. Obejrzała niemłą pluszową serwetę. Sięgnęła po pierwszy z brzegu numer pisma ilustrowanego. Przejrzała je. I nagle zastanowiła się. Co zamierza uczynić? Wejść do gabinetu doktora i powiedzieć mu, powiedzieć mu co? O tym strachu? Prostu była trochę zdenerwowana. O tańcu? Tańczyła, no bo chciała. O spacerze w deszcz? O niedzielnym wieczorze? Co za głupstwa! Jakże to opowiedzieć! O Rafałku i Dulcinei? Ależ to najzwyczajniejsze muchy! Panna Walerja uczuła głęboki wstyd. Zerwała się i uciekła czempredzej. Do domu.

Po drodze przez cały czas dziękowała Bogu, że wyszła wporę. Bo gdyby tak jej kolejka nadeszła i tam, w gabinecie, doktor zapytał: — pani sobie życzy, albo: co mi łaskawa pani powie — wtedy co? Ach, jaki wstyd! Skądże jej mogła przyjść taka niemądra myśl do głowy! Oczywiście, jest najzupełniej zdrowa.

Od progu, zapalając światło, panna Walerja obejrzała starannie swój pokój. Łóżko. Fotel, Szafa. Ciepły piec. Książki. No, tak. W porządeczku.

Bzz...

Rafałek i Dulcinea, obudzone widać światłem, zawirowały wesoło nad głową panny Walerji.

Panna Walerja chciała uśmiechnąć się do nich, jak dawniej. Tylko, że ten uśmiech przekształcił się w skrzywienie warg, bo cichutkie brzęczenie małej pary przekreśliło odrazu wszelką pewność.

Panna Walerja, stojąc przy drzwiach, powoli ściągała rękawiczki. Chodziło o to, żeby jeszcze coś zrobić, żeby nie usiąść tak odrazu w tym fotelu. Żeby nie myśleć. Żeby nie zaczynać.

Pokiwała głową z bolesną goryczą. Można przecie wyjść z tego pokoju, można udawać, że się żyje, jak dawniej, ale przecie trzeba wrócić. Czy może naodwrot?

Panna Walerja zdjęła wreszcie płaszcz i kapelusz. Schowała to wszystko porządnie do szafy. Potem usiadła. Na krześle.

Ach, niedobrze było na tem krześle siedzieć. Brzęk muszy drżał w uszach. Trzeba było pilnować oczu, żeby nie pobiegły do lustra, tam, naprzeciwko. Plecy marzły od obcego dotyku. Jakby ktoś popychał pannę Walerję. Wstała. Poszła. Usiadła na fotelu.

A wtedy zakolysał się i zawirował cały pokój. Razem z temi muchami. Serce wspięło się nagle do gardła panny Walerji. W ustach zabrakło tchu. Zahuczała w głowie fala nierozumnej nienawiści. Panna Walerja zerwała się na równe nogi. Skoczyła. Szarpnęła białą firankę. Wbok (zawisła na zerwanym sznurku). Szarpnęła klamką okna. Wtył. Trzasnął złamany paznokieć. Szarpnęła kapą łóżka. Pac. Spadła na podłogę czyściutka poduszka. Panna Walerja wzniosła ramiona. Precz te przekłete muchy! Machnęła kapą. Rraz! Grzmotnął o ziemię budzik. Dwa. Muchy wionęły w kąt z przeciągłym jękiem. Trzy. Cztery. Pięć! Dwadzieścia. Pięćdziesiąt. Stół.

Wiatr huczał w pokoju panny Walerji. Książki w przeciągu otwierały stronic. Mróz wpadał otwartym oknem. Lampa chwiała się od rozmachu kapy. Pośrodku tego zamętu panna Walerja, dysząc z wściekłości, szukała dwóch małych, ciemnych punkcików. Na tej ścianie. Nie! Na tamtej. Ileż jest tych ścian?! W tym kącie. W tamtym kącie. Ileż jest tych kątów?!

Ach! Ogłupiałe, jęczące, zagarnięte fałdą kapy Rafałek i Dulcinea przepadły w nocnej ciemności. Panna Walerja z trzaskiem zamknęła okno. Z trudem pochwyciła trochę tchu.

Odwróciła się. Powlokła przed siebie. Przez pokój? Może przez pokój. Napotkała przed sobą okropną, wykrzywioną twarz. Pięścią w twarz! Upadło. Brzęknęło. Panna Walerja odskoczyła. Chciała pójść w przeciwną stronę. Nogi jej zaplątały się w porzuconej na podłodze kapie. Upadła. Podniosła się. Zawróciła. Wyciągnęła ręce. Natrafiła na jakiś miękki sprzęt. Upadła.

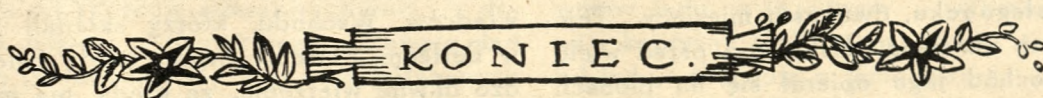
Jakże było cicho. Budzik na podłodze przestał zupełnie klekotać. Panna Walerja leżała może na łóżku, ale czyż możliwe, żeby łóżko mogło tak wysoko i tak bezszelestnie kołysać. Jakże było cicho.

Bzz.

Panna Walerja zerwała się. Usiadła. Śmiesznie kręcąc głową, zaczęła oglądać bacznie cały pokój. Kapa na ziemi. Lustro na ziemi. Firanka na ziemi. Małych, ciemnych punkcików ani śladu. Ani śladu.

Bzz. I to także było możliwe.

Panna Walerja zrozumiała. Jęknęła cicho i chwyciła mocno rękami obie skronie. Tuż za temi skroniami, uderzając boleśnie skrzydełkami w pękające kości, latały, cicho brzęcząc, Rafałek i Dulcinea. Dokoła. Dokoła. I jeszcze raz dokoła.



JANINA TUWANÓWNA

TRADYCJA BOŻEGO NARODZENIA

Mimo tylu prądów naukowych, tylu przeobrażeń warunków życiowych, które wpływały na zmianę stosunków religijnych i rodzinnych w naszym społeczeństwie — są przejawy rodzinnego i religijnego uczucia, wrodzone niemal wszystkim ludziom, które trwają poprzez wieki w nieziennej formie. Jednym z takich jest obchód Bożego Narodzenia.

Mało zastanawiamy się, ile pierwiastku zwyczajowego znajduje się w tej uroczystości, ile przejawiamy cech, właściwych naszym prababkom z czasów Stanisława Augusta, lub znacznie wcześniejszych — np. Zygmuntońskich. Tradycja wolno się zmienia.

Weźmy chociażby choinkę. Zwyczaj ten, którego genezę niemieccy uczeni błędnie wyprowadzają z ich ojczyzny, znany jest na obu półkulach w krajach, położonych mniej więcej na tej szerokości geograficznej,

co Polska. Podobieństwo tego zwyczaju jest tak rozpowszechnione, że w Indjach, tak od nas odległych, taksamo oświetlają drzewko podczas swoich uroczystości. Różnica w tym zwyczaju, obchodzonym teraz i we wcześniejszych czasach, jest ta, że posiadanie przybranej choinki jest obecnie kwestją wyjścia na miasto i zakupu chojaka oraz odpowiedniej ilości cacek. Dawniej pan domu wysyłał ludzi do lasu, poprzez zwały śniegu, aby przywieźli piękną choinę. Pani domu zbierała co wieczór w adwencie panny szlachetkie ze dworu, czasem i bliższej okolicy, a te, zgromadzone w wielkiej komnacie, przy trzasku ognia na kominku, przy jarzących się świecach — zamieniały kawałki bibulek, skorupki od jajek, nici jedwabne i t. d., w zgrabne cacka, którymi w wigilję przybierały drzewko.

Siano, które prababki nasze mogły kazać tak łatwo przynieść na stół pod obrus wprost ze stodoły—my musimy szukać i płacić sporo za małą garstkę jedynie po to, aby, mając w wigilję w domu plon naszych łąk, zapewnić sobie niejako wydajność ziemi w ciągu przyszłego roku, a z nią dostatek wszystkiego. Ponadto jest to plon, który służył Zbawicielowi przy Narodzinach, nie może go więc zabraknąć przy obchodzie tej pamiątki.

Trzeba przyznać, że o drzewko i siano łatwiej było naszym prababkom; niezawsze jednak wnuczki są upośledzone. Przyjrzyjmy się takiemu obrazkowi.

Duża, bardzo duża izba, zresztą nie widać jej wielkości, bo para, dym, gorący opar, zacieraają kontury. Mimo, że mało można dojrzeć, wiadomo odrazu, iż praca tu wre. Słowa krzyżują się, może spotkawszy się z sobą, wiodą spór o wolną drogę w powietrzu, a czynią to głośno, bo hałas ogromny. Poza tem garnki, patelnie, formy od ciast mijają się zygzakami, jakby dbając o swoją zawartość. Zostawiają za sobą pasmo skombinowanej woni: mięsiwa, tłuszczy, korzeni. Niekiedy mignie biały fartuch gospodyni, świecąca twarz kucharza lub przerażone jakby oczy kuchcika; ale ludzie są tu podrzędnymi osobami: panują tu pieczenie, kielbasy, ciasta. Niemało ma roboty gospodyni, gdyż zazwyczaj przestrzegana była liczba 12 potraw, jako zapewnienie sobie dostatku wszystkiego podczas całego roku, dwunastu miesięcy. Tem ważniejsze było to dla pana polskiego z przed wielu lat, że główny dochód jego opierał się na plonach z ziemi; zastawiając więc stoły swoje dużą ilością potraw, przyciągał niejako tem obfitość urodzajów, zapewniał sobie pełne stodoły i śpichlerze, a później pełną kiesę.

W dawnych czasach, ledwo o brzasku dnia wigilijnego, gdy tylko ruch zaczynał się w kuchni, pukali do drzwi domów wędrowni żebracy, pewni, że będą suto obdarzeni. Po dziś dzień w wielu domach pilnie jest uważane, kto pierwszy wejdzie w wigilję do domu: mężczyzna, czy kobieta. Mężczyzna wnosi z sobą szczęście na nadchodzący rok; kobieta, przeciwnie: choroby, biedę, kłopoty. Jest to związane z tem odwiecznem przekonaniem, że kobieta jest istotą nieczystą i obecność jej pociąga za sobą zło. Nie dziw więc, że o ile mężczyzna, choćby to był dziad ubogi, pierwszy przestąpił próg domu, był mile widziany i chętnie obdarzany.

Do świąt jeszcze daleko, a między plebanją i sąsiednimi dworami suną często sanki. To organista rozwozi opłatek poświęcony do wiernych parafjan. Przyjmowany wszędzie radośnie, jest już tym znakiem widomym, że o Świątach trzeba zacząć myśleć. Opłatek jest ściśle związany ze Świątami Bożego Narodzenia. Tak, jak Chrystus (pozostający na ziemi obecnie pod widomą postacią opłatka — Hostji) głosił równość i braterstwo, tak ludzie, na pamiątkę przyjścia na świat Wielkiego Głosiciela, łamią się wspólnie opłatkiem, aby w ciągu roku wzajemnie się wspierali, żyli w zgodzie i braterskich stosunkach. Zwyczaj ten, piękny w swoim idealizmie, ludzie zmienili nieco, nadali mu bardziej realny charakter. Nie poprzestają na symbolicznem dzieleniu się opłatkiem. W dawnych wiekach zaczęto najpierw dawać drobne podarunki dzieciom, potem dopiero weszła w użycie wymiana upominków między starszymi. Podarki takie dochodziły do wielkiej wartości. Serwis porcelanowy, piękna zbroja, zaprząg—nie należały między zamożnymi do rzadkich wypadków. Były to rzeczywiste dowody życzenia, aby dana osoba była odpowiednio przez los obdarzona. Z czasem stało się to takim szablonem, że daje się raczej osobom, którym wypada, a nie tym, którym się dobrze życzy.

W dniu Trzech Króli piszemy na drzwiach, zwyczajem naszych prababek, krzyżyki i pierwsze litery władców Wschodu, którzy składali hołd Jezusowi w Betleem. Piszemy zawsze kredą święconą. Jest bardzo dawne wierzenie, że kreda ma moc odgraniczania. Robiąc znaki kredą święconą na drzwiach naszych domów, przedzielamy się jakoby od zła, które mogłoby przejść przez próg domu. Ponieważ kreda jest święcona i piszemy litery Królów, wyróżnionych wśród innych, których gwiazda zaprowadziła do Stajenki, — wzmacniają się jeszcze broniące przed złem własności kredy.

Zwyczaje te, obchodzone dawniej w mieszczańskich i szlacheckich domach, zachowały się po dzień dzisiejszy tylko — jako tradycja. Nie przywiązujemy do nich znaczenia faktycznego; kierujemy się sentymentem dla przeszłości, ale coraz bardziej wyzbywamy się i tego, jakby bojąc się śmieszności „staroświeckich przesądów”. Nie widzimy, że dostojność a zarazem radość tego Święta posiada w sobie piękno, które należy pielęgnować, a nie zatracać przez zbyt nie upraszczanie obchodu świątecznego.





Wszystko spowite niepokalanie białym śniegiem...

„J U L“

Ponuremi, prostopadłymi ścianami zanurza się Przylądek Północny w wiecznie zimne fale oceanu Lodowatego. Rozbijają się one o jego zbocza, chroniąc resztę lądu od skutków straszliwych burz. A dalej głębie wód oceanu Atlantyckiego oblewają ląd duży, półwysep Skandynawski, kraj zórz północnych i fiordów.

Te sławne na całej kuli ziemskiej fiordy—to zatoki, mniej lub więcej głęboko wrzynające się wgłąb Norwegii. W niektórych miejscach ocean wciska się wgłąb lądu na 100 klm.; w innych—wodospady spadają z hukiem ze stromych skał, tuż u stóp mijających je parowców. Nieprzeliczone szeregi wysp chronią wybrzeża od rozhukanych fal oceanu Atlantyckiego. Wnętrze kraju górzyste, obfituje we wspaniałe wąwozy pomiędzy górami. Niektóre zbocza gór zalesione, inne—nagie, ponuro sterczące skały, ze sławną Jordal-

nut w kształcie naparstka, połyskującą w słońcu i promieniach księżyca od rudy srebrnej.

Kraj piękny, lesisty, z klimatem surowym wewnątrz lądu, a łagodnym u wybrzeży. Bo życiodajny i kapryśny Golfstream, płynąc to bliżej to dalej od lądu, decyduje o temperaturze i wpływa na zewnętrzny wygląd kraju.

— Zależymy zupełnie od niego — mówił mi kiedyś z łagodnym uśmiechem piękny, siwowłosy norweg, owiany tem czemś nieuchwytnem, co pociąga i czaruje: siłą i smętkiem, trzeźwością i poezją. Bo walka z klimatem, z krótkością dnia zimowego, a czar fiordów i zórz północnych, działając wieki całe, odzwierciedlają się na psychicznym obliczu mieszkańców Norwegii.

A kiedy огоłocone z liści konary drzew zanurzą żalobną pieśń jesienną na całej północy, wtedy



Zimowy krajobraz w Norwegii



Schronisko górskie w okolicach Oslo



Jeden z przepięknych fiordów

i tam, więcej może, niż gdzieindziej, każdy mały Olaf:

„Tylko o tem marzy, śni,
Czy prędko zejdzie zima?”

Zima... Dla dzieci Północy to znaczy przede-
wszystkiem Boże Narodzenie, drzewko, gwiazdka, —
wszystko w czarownym, niepokalanym białym śniegu,
z istotą śniegu tak nierozdzielne, że nawet w domu
posypują drzewka sztucznym śniegiem, naśladują go
pod drzewkiem, a takie smutne, kiedy potężny Golf-
stream im go zabiera.

Norweski „Jul” — to Boże Narodzenie.

Święcono „Jul” już w czasach pogańskich w po-
łowie zimy, na uczczenie tej przeżytej zimy połowy.
Bo zima długa, noce nieskończone, więc — straszno.
Złe duchy mają w zimie siłę ogromną: napadają do-
liny, podchodzą do domów, uprowadzają w góry lu-
dzi i bydło. Umarli wracają do domów...

A kiedy zapanował już Chrystjanizm — „Jul” za-
częto obchodzić na pamiątkę Narodzin Zbawiciela.
Zostały zabobony i strach przed długą nocą i złemi
duchami. Więc wszędzie stawiano krzyże dla obrony:
na domach, na budynkach — nietylko na kaplicach
i kościołach. Usiano nimi wszystkie okapy i wie-
życzki słynnego kościołka w Bargund z X wieku, co,
podobny do chińskiej pagody, szczytniały ze starości,
niziutki wewnątrz, żyje do dziś w głębokiej dolinie.

Walczono ze złemi duchami, a świętowano „Jul”
przez dni 20, od wigilii począwszy. Zaczęto wyrabiać
mocne piwo i pić je z tej racji w ogromnych ilo-
ściach. Każdy gospodarz, który miał 6 krów, obo-
wiązany był do wyrabiania piwa i do urządzania
wielkiego przyjęcia, na którym jedzono wieprzowinę
obficie i pod wszelkimi postaciami.

Mijały wieki; wzrastał dobrobyt i kultura kraju;
stopień oświaty doszedł do punktu tak wysokiego,
że aż zazdrość wszędzie wzbudzać zaczął. Zakorze-
nione zwyczaje i pewne zabobony zostały. Na miej-

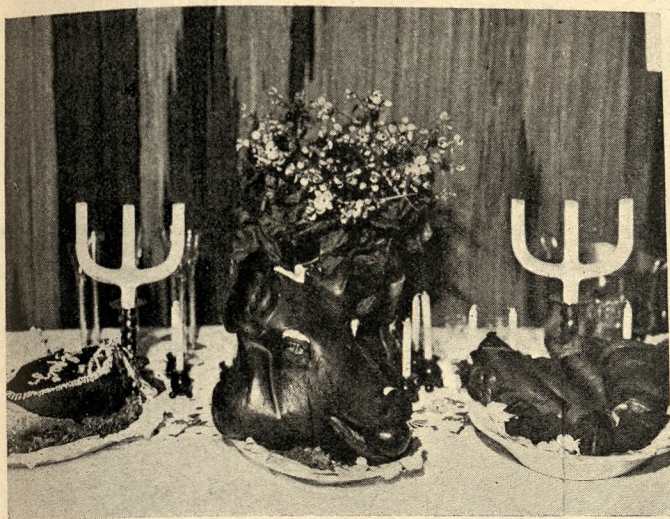
scu złych duchów zjawily się dobre: — krasnoludki
„nisse”. Kochają dobrych gospodarzy, pomagają we
wszystkiem: na budzie wozu lub na dachu karoserji sa-
mochodowej wyprowadzają się razem z dobrym pa-
nem, o ile on to robi.

Ale kiedy nadejdzie „Jul” — chcą jeść. W tym
uroczystym dniu są na poczesnym miejscu, są wtedy
„julenisse” — Krasnoludki Bożego Narodzenia. Go-
tują im na wigilję papkę, rodzaj purée z owsa lub
innego zboża, i stawiają na ziemi w misce, aby do-
woli najeść się mogły. Ze srogo o to czasem walczą
z domowym kotem, to trudno. Są takie maleńkie
i nie widać ich wcale. Są dobre, kochane i w tym
uroczystym dniu wigilijnym pamiętać o nich koniecz-
nie trzeba.

Zaczyna się dzień wigilijny w Norwegji gorączko-
wymi przygotowaniami, jak i u nas zresztą. Około dru-
giej, kiedy zimowy mrok spowija ziemię, udają się
wszyscy do kościołów na nabożeństwo. Po powrocie
zasiadają do wieczerzy, na którą składa się tradycy-
nie szereg potraw z wieprzowiny pod różnemi posta-
ciami. Jedzą też potrawy z reniferów. Dom odświe-
żony utojony zdoł choinka, o ile są w nim dzieci, —
mała lub duża, zależnie od stopnia zamożności. Ubra-
na w zabawki, rękami dzieci wykonane, o narodo-
wym charakterze, koniecznie musi być posypana
śniegiem. Nieodzowne są na niej narodowe sztandary.
Na niej lub pod nią, na czemś białem, naśladującym
śnieg — dary dla dzieci.



Wodospady spadają u stóp mijających je parowców



Zestawa stołu wigilijnego w Szwecji



Krasnoludki „nisse” odnoszące zboże do młyna

A chociaż buzie płoną, serduszka mocno biją, a ciekawość spokoju nie daje, — trzeba się mocno wziąć za ręce z domownikami, obchodzić wkoło płonące drzewko i śpiewać kolendy. Dopiero potem wolno z pod drzewka brać paczki, kochanymi rękami przygotowane, i już bez przeszkód się cieszyć.

Okres Świąt Bożego Narodzenia — „Jul”, trwa dni 20 według tradycji. Nie znaczy to, by cały ten czas świętowano. Nie. Tylko w tym okresie można i trzeba się bawić zgodnie z tradycją i cieszyć się, że przeszła połowa zimy. Młodzież i dzieci przebiegają się wtedy w różne stroje, najchętniej biorąc na się kształt różnych potworów leśnych. Chodzą od domu do domu, pukają, śpiewają piosenki, dostają za to małe ciasteczka i idą dalej. Korzystają z zupełnej swobody. Wszyscy się cieszą razem z niemi, policja nie przeszkadza, a radosny śmiech tych „Julibuk’ów” rozbrzmiewa w miastach i na wsi.

Kraina cudownych fiordów i zórz północnych — Norwegja — dumna z niepodległości odzyskanej w 1905r., spokojna o jutro swych zasobnych obywateli, słucha z radością świątecznego gwaru swych szczęśliwych dzieci. Danja i Szwecja, które przez szereg wieków

stanowiły wraz z Norwegją nierozdzielną całość na mocy unji z XIV w., zamieszkałe przez ten sam szczerp ludności, mają wspólną religję protestancką. I aczkolwiek oddawna każdy z tych krajów żył bytem samodzielnego państwa, mniej lub więcej potężnego, jednak zachowały one wiele cech wspólnych i zwyczajów świątecznych. Wszędzie widać tradycyjne drzewko, które, kiedyś z Niemiec importowane, przyciągało się prawie wszędzie na świecie siłą swego uroku i sumą radości, jaką daje dzieciom.

To też w dzień wigilijny, gdy u nas pierwsze gwiazdy zaświecą, gdy z cichym chrzęstem przełamie się biały opłatek i zapłoną drzewka, — pomyśleć trzeba, że tam, gdzie mocniej mruga Gwiazda Polarna, za morzami, jest także wigilja.

W przyjaznych nam ojczyznach Griega, Ibsena, Amundsena, Nobla i Thordwaldsena płoną też drzewka wigilijne, a ludzie, wzięwszy się za ręce, zgodnym chórem śpiewają, że się

„Narodził Zbawiciel,
Nowy świata Odkupiciel.
Hej, kolenda! kolenda!”

Marja Dobrowolska



Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Ostatnia nowość”—komedia w 4-ech aktach Edwarda Bourdeta. Przekład Tadeusza Boga-Zeleńskiego. Reżyseria Jerzego Leszczyńskiego. Dekoracje Karola Frycza.

„Wielki przemysł” wydawniczy we Francji obniża produkcję powieściową pod względem jakości. O stwierdzenie tego stanu rzeczy szło chyba Bourdetowi w „Ostatniej nowości”, komedji, w której akt pierwszy jest punktem kulminacyjnym. Wszystko właściwie powiedział nam autor w tym kapitalnym pierwszym akcie. Poznaliśmy w nim odrazu działający „personel” sztuki, wiemy, jakie są metody wydawcy Moscata, jak się inscenizuje nagrody literackie i jaka jest etyka tych sui generis literatów. Na dalsze trzy akty zostaje pseudo-romansowa intryga, wyreżyserowana przez sprytnego wydawcę.

Oczywiście, okazuje się, poraz nie wiem który w życiu i w literaturze, że nie należy igrać z ogniem, bo to, co miało być grą dla interesu wydawcy, staje się prawdziwym przeżyciem Żakliny. Ale nie w tem tkwi pointa, zmierzająca do „literackiego” rozwiązania. „Przeżycie” posłuży bowiem za temat aż trzem literatom, a wydawca zapłaci za swój pomysł pokaźne honorarium. Czyli—kto pod kim dołki kopie...



Leszczyński i Modzelewska w sztuce „Ostatnia nowość”

Paryskie kulisy wydawniczo-literackie ujawniają businessowość tego przedsiębiorstwa, które nazewnątrz występuje szumnie i dumnie. Profan, widząc to, może stracić jeszcze jedno bożyszcze, bo przestaje wierzyć w brawurowy podbój opinii przez talent. Ale każdy żart zawiera przecież tylko połowę prawdy...

Komedja Bourdeta ma zresztą jedną wielką zaletę: jest zajmująca i dowcipna, a dzięki Samborskiemu i Leszczyńskiemu—pełna werwy. Modzelewska gra z umiarem i właśnie dobrze, że zaprawiła rolę dyskretną uczuciowością.

H. N.

Z KSIĄŻEK

Zofja Zawiszanka: „Poprzez Fronty”—Główna księgarnia wojskowa. Warszawa, 1928 rok.

Dużo, bardzo dużo mamy książek o wojnie, o powstaniu Polski, o legendach i wogóle o tych wszystkich gorących i soczystych dniach, których nigdy chyba zapomnieć nie będzie można. Książki te, pisane wyłącznie przez mężczyzn, imponują wiedzą wojskową i wyrobieniem politycznym autora, oraz całą masą ciężkich gatunkowo rzeczy, dzięki którym czuje się ważność słów, powołanych do tworzenia przyszłej historii. Książka o wojnie, pisana przez kobietę, jest czemś zupełnie nowem i oryginalnem. Nie przez nieświadomość lub niewiedzę autorki i nie przez inne budowanie faktów, ale przez punkt podjęcia do sprawy, któremu na imię będzie—entuzjazm.

Zofja Zawiszanka przeżyła wojnę o Polskę od początku, któremu jeszcze niezupełnie na imię było Najjaśniejsza Rzeczpospolita, aż do końca, który począł tę Rzeczpospolitą świadomie budować. Przeżyła ją w jej najistotniejszych przejawach: w ogniu i w obawie śmierci. Potem poprostu spisała swoje wrażenia. Nie jest to książka, tworzona „a priori”, literacko, ani ze sztuczną „lezką”, ani ze sztucznym zapalem. Z tym zapalem odrazu zrodził się czyn, a książka Zawiszanki jest tego czynu wspomnieniem. Entuzjazm wypływa sam z siebie, tworzy się nieświadomie i opanowuje całą treść i formę tego cyklu opowiadań.

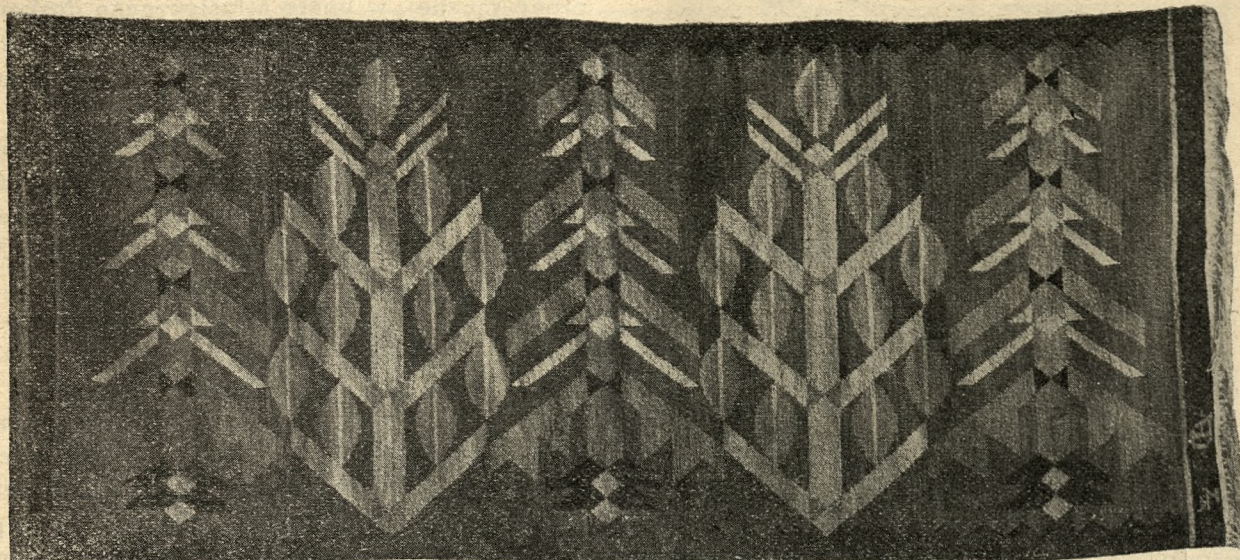
Książki mężczyzn o wojnie rozumują, badają, wnioskują i uczą. Książka kobiety zapiera oddech w piersi, i nie pozwala myśleć, tylko wzrusza. Obok treści, przepojonej atmosferą zapalu i poświęcenia, doskonała jest również forma bezpretensjonalnego opowiadania, które płynie niesłychanie żywo, bez zbytecznych dłużyń i zahaczeń.

Z. M.

ZABURZENIA W TRAWIENIU



PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



Kilim — projekt Haliny Karpińskiej

„Ł A D”

„Ład”—wspaniała nazwa dla stowarzyszenia, którego hasłem jest doskonałość! Doskonałość formy, surowca i wykonania w zakresie sztuki wnętrza. Uprzemysłowienie sztuki i, co za tem idzie—odrodzenie artystyczne przemysłu; udoskonalenie, uszlachetnienie formy i jakości przedmiotów codziennego użytku—podniesienie i uartystycznienie poziomu życia codziennego. Harmonja osiągnięć i zamierzeń. Marzenia artystów, uwiecznione w tkaninie ze lnu lub wełny, zaklęte w glinianej skorupie, przekazujące następnym pokoleniom opowieść o tem, jak rozumieli piękno ojcowie.

Spółdzielnia artystyczno-wytwórcza „Ład”, założona przed dwoma laty z inicjatywy profesorów i uczniów szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, stała się dziedziczką w prostej linii dorobku ideowego i doświadczeń towarzystwa „Polska sztuka stosowana”. Idee, głoszone wciąż dwudziestu-pięciu lat przez grupę artystów, skryształizowały się w czyn realny. Zespolenie doskonałych, wypróbowanych metod starszego pokolenia z twórczym porywem młodości. Współpraca profesorów z uczniami. Cierpliwość i wytrwałość, niezachwiana wiara w lepszą przyszłość, przyświecająca zmuśnionym poczynaniom w ciasnym, użyczonym z łaski, lokalu przy szkole Sztuk Pięknych. Brak funduszy, podcinający skrzydła śmielszych, rozleglejszych zamierzeń. A jednak „Ład” zwycięża. Takim zwycięstwem jest niewątpliwie zdobycie własnego lokalu na Czeraniakowskiej, wprowadzenie jeszcze niedostatecznego, lecz niezależnego. Zwycięstwem jest urządzenie wystawy w wielkim magazynie meblowym przy placu Małachowskiego.

Działalność „Ładu” ma obejmować wszystkie dziedziny sztuki wnętrza: meblarstwo, ceramikę, tkaniny na warsztatach ręcznych, projekty wnętrz, wyroby metalowe, rzeźbione w drzewie etc. Na wystawie pokazano narazie jedynie wyroby tkackie: kilimy i tkaniny lniane. Wszystkie eksponaty cechuje w najwyższym stopniu owo dążenie do doskonałości, będące naczelnym hasłem „Ładu”: surowa wybredność, odrzucająca bezwzględnie wszelki falsyfikat w zakresie surowca, potępiająca bezapelacyjnie najłżejszy cień plagjatu w dziedzinie ornamentu. Z tej obawy powtórzenia wzorów, lub chociażby stylów znanych, wytwarza się, szlachetne zapewne, lecz i rażące oczy laika swą monotonią, ubóstwo ornamentu. Zresztą, jest to sprawa bez głębszego znaczenia, gdyż, jak twierdzi prezes instytucji, prof. Jerzy Warchałowski:—styl przemija, technika zostaje. To też „Ład” nie przestaje dążyć do doskonałości technicznej. Wytworem tego dążenia są piękne kilimy, tkane na warsztatach ręcznych, z ręcznie przedzonej wełny baranów krajowych. Wełna jest barwiona barwnikami naturalnymi. Przypadkowe zgrubienia przedzonej ręcznie nici, oraz rozjaśnienia i ściemnienia odcieni naturalnego barwnika wełny—nadają tym kilimom wdzięk nieporównany, niedający się naśladować w produkcji maszynowej. Mają one swoje własne życie, to życie, które zabiły w cudnych ongi dywanach perskich niemieckie maszyny i farby anilinowe. Największe zasługi w zakresie barwienia surowca i tkania kilimów położyła p. Eleonora Plutyńska.

Za punkt wyjścia tkanin lnianych posłużyły wyroby ludowe w Wileńszczyźnie. Artyści „Ładu” udo-



Kilim — projekt Julji Grodeckiej

skonalili je pod względem technicznym, dając tkaninę bardziej zwartą, oraz zastąpili prymitywny ornament ludowy wzorami z zygzaków i przecinających się wzajemnie figur geometrycznych. Jedną jest tylko makata w stylizowane orły i ta odcina się wspaniałością ornamentacyjną od drobno zygzakowatego tła. Zresztą, przed tkaninami „Ładu” otwiera się cały bezmiar możliwości, zarówno praktycznych, jak dekoracyjnych. Złocista nitka lniana znaczy na szarym tle ornament wypukły i lśniący, jak na brokacie. Pod względem mocy tkanina lniana przewyższa wszystkie materiały meblowe.

Może z niemi również z powodzeniem konkurować pod względem ceny. Nad ciąglem udoskonaleniem tego typu tkanin pracuje nieustannie p. Julian Kintop. W miarę rozwoju produkcji, cena tkanin lnianych powinna jeszcze się obniżyć, jak upewnia prof. Warchałowski. Natomiast kilimy, jako arystokratyczny wytwór

pracy ręcznej, w miarę artystycznego doskonalenia się będą się stawały coraz droższe. W najbliższym czasie „Ład” zamierza przystąpić do wyrobu dywanów strzyżonych.

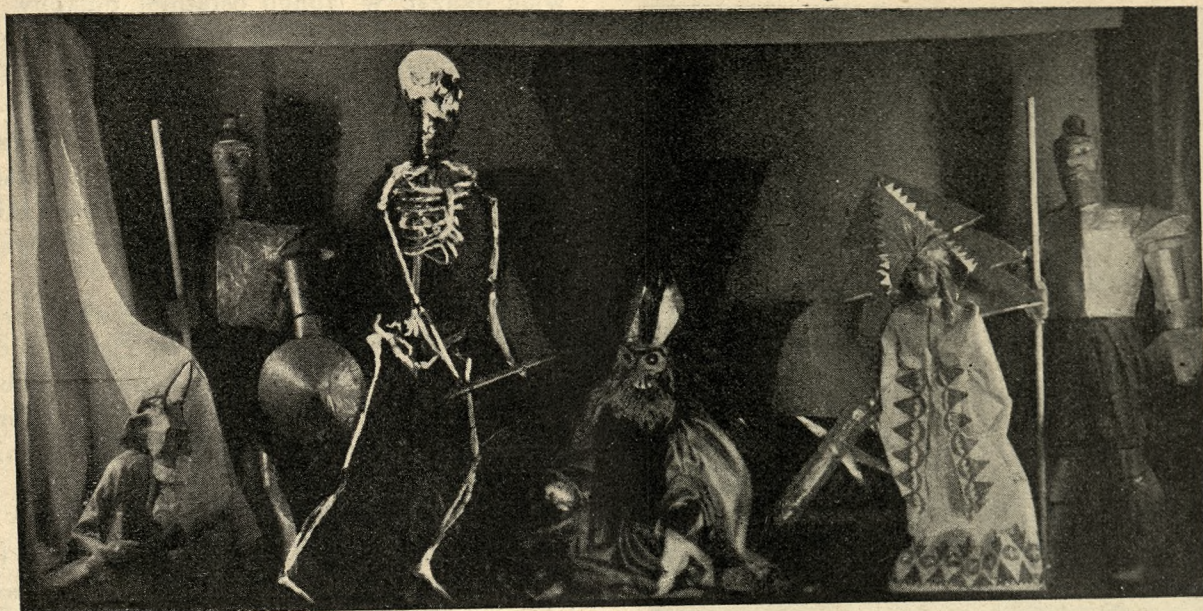
Wystawa „Ładu”, niestety, bardzo krótkotrwała, zdążyła jednak obudzić wielkie zainteresowanie, zwłaszcza wśród cudzoziemców. P. Dewey zakupił jeden z największych kilimów. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamówiło u „Ładu” szereg wnętrz dla placówek polskich zagranicą. Jest to bardzo mądre posunięcie ze względu na propagandę przemysłu artystycznego Polski.

Takie placówki pracy, jak „Ład”, są ważnym czynnikiem kulturalnym, mającym doniosłe znaczenie zarówno dla rozwoju przemysłu, jak i należytego spożytkowania rozrzuconych, pracujących bez programu i „Ładu” młodych talentów. Życzyć należy, aby „Ład” mógł wreszcie zdobyć kapitały i miejsce na wielkie warsztaty i aby zyskiwał w społeczeństwie coraz więcej zrozumienia i uznania dla swej rzetelnej pracy.

Jadwiga Kiewnarska.



Tkanina lniana
Projekt Lucjana Kintopa



Scena z Herodem z Szopki Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie

SZOPKA WSPÓŁCZESNA

Wiele wieków tradycji ma szopka za sobą.

Chodziły z nią niegdyś po dworach i zamożniejszych domach żaki, wesołą kolendą przymawiając się o datki, przeważnie w naturze, jak to widać z zachowanych do dzisiaj tekstów.

Kiedy szopka przeszła do rąk uliczników miejskich i kiedy wprowadzono do niej różne komiczne figury, niezwiązane z treścią tradycyjną, jak to: karczmarza, kozaka, Małgorzatę z huzarami, pannę z Wiednia i t. p. — trudno to dokładnie ustalić. Kto ciekaw danyh historycznych, niech przejrzy dzieła Kolberga i Glogera, niech sięgnie do pamiętników księdza Kitowicza, zawierających opis ówczesnej szopki, i niech przeczyta w starych rocznikach Tygodnika Ilustrowanego artykuł o szopce prof. Ignacego Matuszewskiego. Źródeł tych jest naogół mało, i bardzo niewiele zawierają szczegółów, dotyczących wyglądu szopki i kukielek, oraz przebiegu przedstawienia.

Resztki tradycji szopkowych dotrwały do najpierwszych lat naszego stulecia. Jeszcze wtedy tułało się kilku kolendników z szopką, zupełnie już zresztą nieciekawą, złożoną ledwo ze szczątków dawnych tekstów i zawierającą tylko kilka ogólnie znanych kolend.

Na kilka lat przed wojną, w Krakowie, grono artystów zorganizowało niezapomnianą „Szopkę Zielonego Balonika” — szopka ta jednak, prócz nazwy, kilku melodyj i techniki wykonania kukielek — nic wspólnego z tradycją nie miała. Była to doskonała rewja, w której zamiast ludzi występowały kukielki, przedstawiające szereg wybitnych i znanych powszechnie osobistości *).

Wojna zniszczyła do reszty tradycyjną szopkę i nie pozwoliła na dokonywanie jakichkolwiek nowych prób w tym kierunku. Dopiero w listopadzie 1921 r. na Wydziale Sztuk Pięknych w Wilnie powstała myśl odrodzenia tradycyjnej szopki.

Inicjatorem był prof. Mieczysław Kotarbiński, który właśnie wtedy świeżo przyjechał do Wilna. Myśl ta przez ogół słuchaczy została narazie przyjęta dość sceptycznie. Całe to młode pokolenie wilnian szopki już nie znało. Zato profesorowie i kilkoro z pośród słuchaczy zapaliło się do tego pomysłu. Odrazu na pierwszym zebraniu zgodziliśmy się wszyscy, że szopka nasza nie ma być czcigodnym wykopaliskiem, ograniczającym się do dawnych tekstów, lecz musi być żywa i współczesna, jakkolwiek na tradycji oparta. Trzeba było przedewszystkiem dokładnie poznać te tradycje, zwłaszcza miejscowe. Rozeszliśmy się po mieście, i każdy miał polecone wypytywanie znajomych, pamiętających jeszcze szopki w Wilnie, jak to tam było. Pozatem profesor Kotarbiński miał się rozejrzeć w materiale muzycznym; mnie wydelegowano do biblioteki uniwersyteckiej w celu wynalezienia tam wskazówek, dotyczących charakteru i urządzenia szopki i tekstów. Wskazówki były bardzo skąpe, a co do tekstów, to zabrałam z biblioteki Kolberga, uważając, że z tego wspólnymi siłami uda się coś skłecić. Prof. Kotarbiński zato znalazł poprostu kopalnię skarbów w „Kolendach i pastorałkach” księdza Mioduszewskiego.

*) W tym charakterze utrzymane też były szopki Pikadora i Cyrulika Warszawskiego.



Pierwsza szopka Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu w Wilnie
z grupą szopkarzy

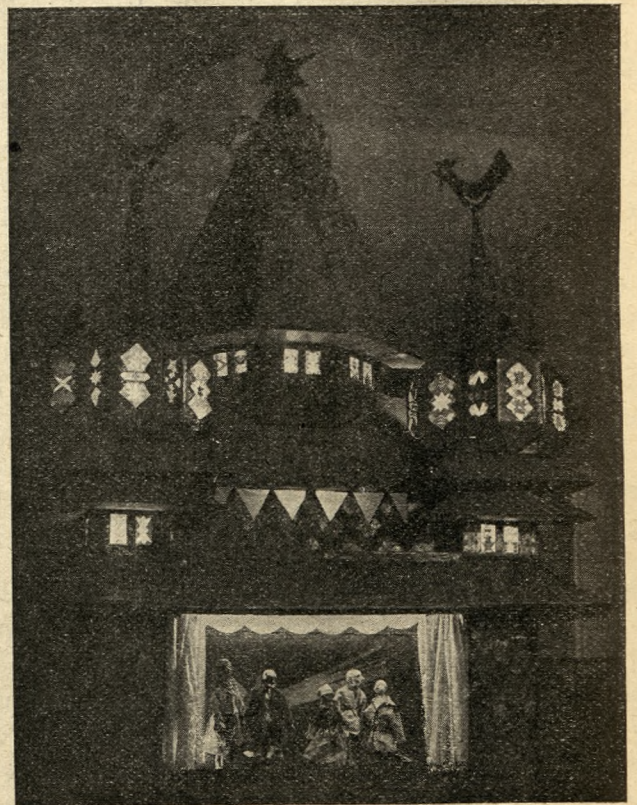
Rozejrzawszy się w materiale, doszliśmy do wniosku, że z odpowiednio zestawionych kolend robi się doskonałą scenę zbudzenia pasterzy przez anioła, pochodu trzech króli i drugą—oddania darów w Betleem. Trzecią scenę z Herodem mieliśmy doskonałą w Kolbergu, który również poddał nam pewien świetny pomysł. Po namyśle postanowiliśmy odrzucić wszystkich żydów z kożą, Małgorzatki, kominiarzy, strażaków i t. p., wychodząc z założenia, że figury te były ongiś wprowadzone do szopki, jako postacie charakterystyczne dla danego momentu, i, tworząc rodzaj revue, nadawały widowisku cechę aktualności. Dziś nie przemawiałyby one i nie bawiły nikogo; zamiast nich więc postanowiliśmy dać część aktualną, przedstawiającą osobistości, znane na gruncie wileńskim. Trzeba było tylko znaleźć dowcipne połączenie części tradycyjnej z aktualną, i tu jest właśnie kolej na pomysł z Kolberga.

Z tekstów tradycyjnych wynikało, że diabła, cieśzającego się duszą Heroda, przepędza ze sceny bądź anioł, bądź... baba. W różnych okolicach było to różnie przedstawiane; w wileńszczyźnie bodaj że występowała baba. Otóż, w czasach, gdy układaliśmy naszą szopkę, w Wilnie niezmiernie popularna była bohaterka nadzwyczaj dowcipnych, miejscowym dialektem pisanych feljetonów, stróżowa Józefuowoczka, osobistość wielce energiczna, władająca równie dzielnie miotłą, jak językiem. Ją to zaangażowaliśmy do wypędzania nieczystej siły. Józefuowoczka miała się

więc ukazać w końcu ostatniej odsłony tradycyjnej, a następnie rozpocząć odsłonę aktualną, stanowiąc w ten sposób łącznik między temi dwiema częściami widowiska.

Pomysł był dobry, a w praktyce okazał się jeszcze lepszy, gdy koleżanka Samorewiczówna poparła go doskonałym tekstem dla Józefuowoczki, która zyskała sobie nastale prawo obywatelstwa w szopce wileńskiej.

Z tekstem tradycyjnym sprawa poszła gładko, z aktualnym—również jako tako, i choć ogólny pomysł części aktualnej był dość naiwny i niezbyt udolnie przeprowadzony, znalazło się jednak sporo dobrych piosenek, tak, że całość przedstawiała się nienajgorzej. Kukielki wyszły, jak na pierwszą próbę zwłaszcza, nadspodziewanie dobrze. Budowa gmachu szopki postępowała powoli, ale stale naprzód. Niestety, im bliżej końca, tem więcej ludzi odpadało od roboty! Zrażał ich ogrom pracy, której nie rozumieli i nie umieli sobie wyobrazić końcowego jej efektu. Zostało wreszcie tylko kilku zapaleńców szopki, t. j. profesor Kotarbiński, niezmordowany profesor Bałzukiewicz i czterzy, czy pięć osób z pośród słuchaczy. Pracowaliśmy dniami i nocami. Prof. Ruszczyc, narówni z nami zainteresowany szopką, oddał nam na pracownię salę dziekanatu i swój własny gabinet, przenosząc urządowanie do swego mieszkania. Przez całe dwa tygodnie na jego biurku kłębiły się stosy pstrych gałganków, a podłogi widać nie było z pod zrzynków kolorowego papieru. W piecu profesor Bałzukiewicz gotował przez całą noc czar-



Szopka Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie

na kawę, a na jedynej kanapie każda z sześciu pracujących osób miała prawo godzinę się przespać.

O 8-ej rano szliśmy na kawę, potem każdy wędrował do domu, aby się umyć, i około 11-ej spotykaliśmy się znowu w dziekanacie na próbie, a po niej zabieraliśmy się znów do roboty przez cały dzień i aż do rana. W ostatnim tygodniu spaliliśmy tylko dwie noce.

Prawie w ostatniej chwili zjawił się niespodziewanie nowy talent, któremu szopka bodaj połowę powodzenia zawdzięczała. Na próbę już w ostatnim tygodniu przyszedł, niemal przypadkiem, kolega Bohdanowicz, znany z dowcipu i dobrego humoru. Nie miał dotąd czasu na zajmowanie się szopką, znalazłszy się jednak na próbie, zrobił kilka uwag, dotyczących poruszania lalek i wreszcie sam spróbował prowadzenia. I oto lalki nagle ożyły, tak, że nawet autorzy tekstów, choć zmęczeni już do ostateczności pracą, zaczęli się śmiać z własnych dowcipów.

Mimo jednak, że wszystko zapowiadało się dobrze, z niepokojem myśleliśmy o tem, jak Wilno przyjmie szopkę. Cały szereg osób nietylko odsunął się od roboty, lecz wyraźnie mówiono, że taka rzecz nie ma właściwie żadnej artystycznej wartości, i szkoda pracy. Nie przejmowaliśmy się zbytnio temi sądami o artystycznej wartości, lecz obawialiśmy się, że ogół może tak samo nie zrozumie szopki, skoro nie docenili jej słuchacze Wydziału Sztuk Pięknych.

Na szczęście, obawy były płonne. Takiego triumfu nie wyobrażaliśmy sobie nawet, a takiej dzikiej radości, że nasza warjacka praca jednak osiągnęła cel — chyba nikt z nas już więcej nie przeżyje.

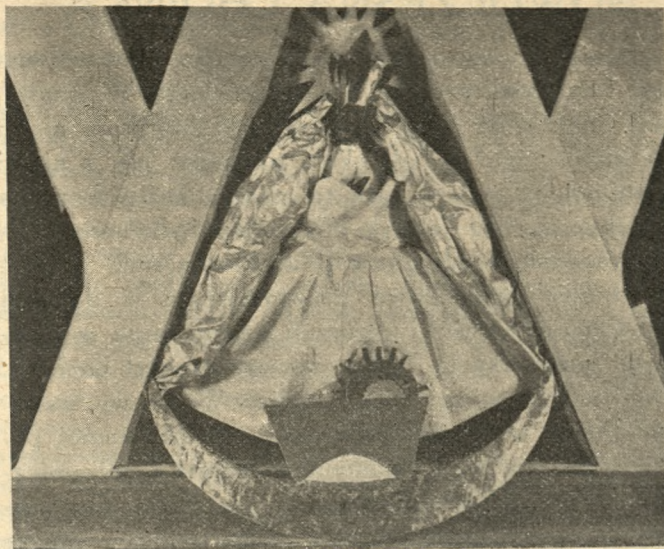
Ledwie, przy nieodsłoniętej jeszcze kurtynie, zabrzmiało na starą nutę powitanie kolendników:

„Dobry dzień wam, gospodarzu nasz miły
już sto lat, jakżeśmy u was nie byli.
Z dawnych żaków kolendnicy-śmy nowi
dawną piosnką was powitać gotowi“ ..

już wyczuliśmy, że publiczność jest nasza, a im dalej, tem większy był zachwyt. Ludzie wychodzić i rozstać się z szopką nie chcieli. Winszowali nam wszyscy, a w pierwszym rzędzie malkontenci, którzy teraz odżałować nie mogli, że udziału w szopce nie biorą.

Był jakiś poczęstunek dla szopkarzy. Czuliśmy się zbyt zmęczeni, by pić dużo, lecz od początku byliśmy pijani, ale wrażeniem, nie wódką. Nie można było usiedzieć na miejscu. Ubraliśmy profesorów w nasze czapki, poszliśmy szeregiem do Ogniska Akademickiego, śpiewając na ulicy kolendy. Do Ogniska wpadliśmy z krzykiem i hałasem na jednego szaleńczego mazura, a potem znów na ulicę, póki wreszcie mróz nie ostudził trochę rozpalonych głów i straszliwe zmęczenie, przesłonięte narazie podnieceniem, nie zaczęło dawać się we znaki.

W następnym roku zorganizowaliśmy szopkę znowu, lecz już więcej ludzi pracowało przy niej,



Matka Boska z Szopki Szkoły Sztuk pięknych w Warszawie

gdyż powodzenie pierwszej nawróciło wszystkich malkontentów.

Na trzeci rok akademicki większość szopkarzy wraz z profesorem Kotarbińskim znalazła się w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie i tu znowu zainicjowała szopkę. Tu idea ta nie była dla nikogo obca, to też szopka Szkoły Sztuk Pięknych co rok cieszy się wielkiem powodzeniem.

W Wilnie tradycja, raz nawiązana, trwa również nadal i szopka jest już stałą doroczną atrakcją, zawsze niecierpliwie oczekiwaną przez akademików i całe miasto.

Pisząc te wspomnienia, myślę sobie, że tradycja szopki w tej postaci, w jakiej myśmy ją odtworzyli i która dotąd trwa w Wilnie i w Warszawie, może znowu zaginać, i być może również, że za sto lat znowu komuś przyjdzie ochota ją odnaleźć.

Jeśli wtedy, szukając źródeł, trafi na stary rocznik „Bluszczu“ z r. 1928, niech od nas, szopkarzy, przyjmie pozdrowienia. Tekstów i wskazówek wiele od nas nie dostanie, jak my nie dostaliśmy ich od dawnych kolendników, bo, jak oni, nie myśleliśmy o ich uwiecznieniu.

Ani jeden tekst szopki wileńskiej czy warszawskiej nie został dotąd wydany — wątpię nawet czy wszystkie dałyby się skompletować: tak łatwo się gubi te rzeczy, które narazie umie się napamięć, a później tak łatwo zapomina!... Zresztą może nie mają one dostatecznej wartości literackiej, aby warto było je wydawać, a pozatem, czyż dokładne wzory tak koniecznie są potrzebne? Sądzę, że bezwiednie tworzyliśmy nasze szopki według tej samej recepty według której kiedyś żaki układały swoje kolendy, a którą i za sto lat też posługiwać się będzie można. Trzeba do niej dobrych chęci, poczucia artystycznego i bardzo dużo dobrego humoru. Trzeba to razem zmieszać i przepis ten zawsze się udaje. *Jadwiga Prażmowska.*

NOWOCZESNA CHOINKA

Ponieważ losy rzuciły mnie w tym roku w świat daleki i rozdzieliły na Święta z ukochaną Warszawą, muszę poprzestać na przesłaniu Czytelniczkom moim serdecznych życzeń zdaleka i podzielić się z niemi wrażeniami ze świata. Jak to mówią, każdy kraj ma swój obyczaj. Są jednak obyczaje międzynarodowe, które wszędzie w tej porze powiększają ruch w sklepach, budzą gorączkowe przygotowania w domach oraz pełne ciekawości i wzruszeń oczekiwanie w dzieciennych serduszkach. Takim zwyczajem jest choinka. Oczami duszy widzę place i ulice Warszawy, zastawione różnej wielkości świerkami, stwarzającymi pozór gęstych lasów, o tęsknym poszumie i balsamicznych woniach. Porównywan je z nastrojem ulic wiedeńskich, a choć nasze miłsze, bo swoje — muszę przyznać, że tutejsze są o wiele weselsze i niefrasobliwsze. Gwar przekupniów, sprzedających gałęzie ostrokrzewu o czerwonych jagodach, okna sklepów, przybrane świerkami—nadają pewien specjalnie świąteczny charakter zawsze wesółemu i pełnemu bez troski miastu. Już od ósmego grudnia najwykwintniejsze magazyny zdobią wystawy tradycyjną choinką. Obwieszona srebrnymi nitkami, ubrana jednokolorowymi kokardkami z wąskiej, jedwabnej wstążeczki, wiązaniem na czubkach gałęzi—króluje choinka wszechwładnie w tej porze, współ—z kominiarzem.

Dlaczego karykatura kominiarza w wysokim, prostym, jak rura, cylindrze, z ogromną papierową miotłą, którą triumfalnie dzierży w rękach z waty, jest godłem świątecznym Wiednia—tego, pomimo najszerszych chęci, dowiedzieć się nie mogłam. Więc, rada nie rada, musiałam poprzestać na przypatrywaniu się i podziwianiu tych dziwacznych postaci, z których każda z innym wyrazem twarzy zdaje się śmiać do przechodnia.

Zasadniczo różni się skromna, wykwinna, arystokratyczna — pomimo zmiany [stosunków, wiedeńska choinka od berlińskiej.

Berlin w tej porze tonie w powodzi błyskotek i świecideł. Lśniące kule i kulki, różne misterne cacka, przeważnie ze szkła,—to typowy charakter niemieckiej choinki.

Paryż, jak zwykle przoduje w pomysłach, a choć zdawałoby się, że już nic nowego w tej dziedzinie nie da się wymyślić,—to, co tu widzę, zadaje kłam temu mniemaniu.

Choinka z deseczek, dziwoląg napozór, którego, musimy przyznać, dotąd jeszcze nie było, choć początkowo nie pociąga zbytnio oka, przyzwyczajonego do zieleni świerków, nie można odmówić jej zalet oryginalności i niezaprzeczalnej nowości pomysłu.

Dla ludzi o nowoczesnych upodobaniach miłą będzie zabawką, własnoręcznie zbudować drzewko, kształtem przypominające choinkę, której nadadzą barwę niekoniecznie zieloną, ale dowolną, zastosowaną do ko-

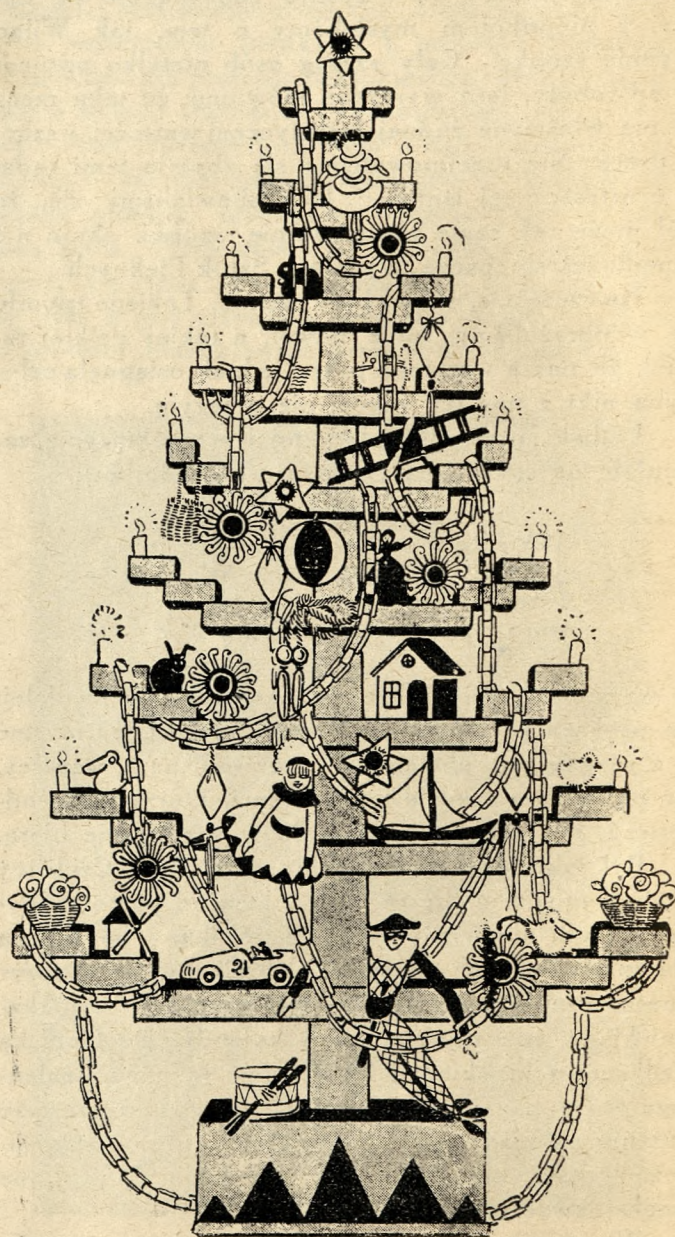
loru pokoju, w którym ma stać, lub pozostawiając w barwie naturalnej. Drzewko zrobione jest na podstawie słupka, obsadzonego w skrzynkę, ozdobioną w odpowiednim do całości stylu. Słupek, grubszy od dołu, zwęża się stopniowo ku górze, a poprzeczne trzycentymetrowe deseczki stanowią niby gałązki.

Zaczynamy budować drzewko od dołu, przybijając naprzód najdłuższe ramiona, skracane symetrycznie ku górze. Na końcach tych poprzeczek mocujemy u dołu po dwa kłocuszki, a w górze, na krótszych deseczkach, po jednym. Każdy klocek zakończony jest świeczką kolorową, oprawioną w lichtarzyk z ostreimi sztyftami, wbitemi w drzewo, albo kolorową lampką elektryczną. Od gustu ubierającego drzewko zależy rozmieszczenie na nim ozdób i zabawek.

Jeśli która z Czytelniczek „Bluszczu” spróbuje wykonać taką „choinkę z deseczek”, niechaj doniesie nam o rezultacie swej pracy.

Paryż w grudniu.

M. Z.



Choinka z deseczek.

O RYBACH NA WILJĘ

Niektóre gatunki ryb tak zgodnie z tradycją weszły w użycie, że bez nich nie umiemy sobie wyobrazić wieczerzy wigilijnej. Szczupak faszerowany lub po żydowsku, okonie lub sandacze z jajami, karasie smażone lub w śmietanie, karp lub leszcz w szarym sosie z rodzynekami, sielawy smażone i t. p. — zdaje się nam, że niczem się nie dadzą zastąpić. Tymczasem ryby rzeczne i jeziorowe stają się coraz droższe, a nieraz trudno je dostać, — szczególnie w tym roku, kiedy jeziora i rzeki dotąd nie pokryły się lodem i stąd połowy są małe i utrudnione. Ubiegłych lat duży dowóz ryb, głównie mrożonych sandaczy z Bolaszewi, normował ceny ryb krajowych i dostarczał dużej ilości ryb po dostępnych cenach. W tym roku fatalny bilans handlowy spowodował, że wcale sandacze przywozić nie było dotąd wolno; wprawdzie chodzą pogłoski, że w ostatnim czasie pozwolono na wwóz siedemnastu wagonów tej ryby, lecz pogłoski te trudne są do sprawdzenia. I doprawdy, moglibyśmy się wszyscy wyrzec tych ryb w imię solidarnego popierania wyłącznie krajowej produkcji. Przedewszystkiem karpi nam w żadnym razie nie zbraknie. Hodujemy ich coraz więcej. Oprócz znanych i cenionych karpi królewskich, o ładnych, złotych łuskach, mamy od lat paru karpie białe, tak zwane węgierskie. Mimo tej nazwy, pozwalającej się domyślać pochodzenia zagranicznego, są to karpie krajowe, hodowane w dużych zakładach na Śląsku. Nazwę swą zawdzięczają temu, że pierwsze ich krociki sprowadzono przed kilku laty z Węgier. Są wyborne w smaku, nawet tłustsze od zwykłych karpi, przyczem mają mniejszą główkę, a zatem więcej części jadalnych. Bo co do tej karpiej głowy, to we Francji uchodzi ona za wielki przysmak. Widziałam sama w dobrej książce kucharskiej następujące zdanie: „La tête du carpe est un morceau de choix, qui doit être servi de préférence aux dames”. U nas jakoś mało kto

lubi i umie zjeść ładnie głowę rybią. Oprócz klasycznego karpia w szarym sosie, lub gotowanego w piwie czarnem, po polsku, jest cały szereg sposobów przyrządzania karpia na gorąco lub na zimno, przyczem za najbardziej wykwintny uchodzi karp po francusku, gotowany na niebiesko i podawany tylko z cytryną w ćwiartkach i z sardelowym sosem. Szczupaków nam dostarczy Pińszczyzna i Pomorze; kupując szczupaki, zawsze należy się dowiedzieć, skąd pochodzą. Pomorskie są o wiele smaczniejsze, pińskie — prawie zawsze mają posmak błota. Drobne szczupaki, co do smaku, nie ustępują kilkakrotnie większym, ale i kilkakrotnie droższym dużym sztukom. Te duże są głównie potrzebne do faszerowania i na majonezy. Drobne są wyborne smażone. Nie powinno też na rynkach przedświątecznych zabraknąć karasków, które w obfitości zarybiają nasze małe stawy dworskie. Szczególniejszą jednak uwagę winniśmy skierować na ryby morskie. Coraz więcej ich z naszego Pomorza przybywa. Jedząc je i ucząc się je smakowicie przyrządzać, tem samem popieramy rozwijający się nasz przemysł rybny. Niedawno się dowiedziałam rzeczy, bardzo dla gospodyń ciekawej. Jak wiemy, Gdańsk nie jest oddzielony od Polski granicą celną i wszelkie produkty spożywcze mają stamtąd wolny wstęp do nas. Skorzystały z tego różne fabryki niemieckie, które pozakładały swoje filje na terytorjum wolnego miasta i zasypują nas swoimi wyrobami. Proszki do pieczywa, budynie, galaretki, sery przeróżnych gatunków, konserwy i t. p. konkurują zwycięsko z naszymi polskimi towarami, tem bardziej zwycięsko, że Niemcy są bardziej przedsiębiorczy, bardziej do handlu uzdolnieni i rozporządzają większymi kapitałami. Otóż do tych wszystkich wyliczonych artykułów możemy zaliczyć dorsze gdańskie. Są one w tajemniczy sposób szmuglowane z Niemiec do Gdańska, a stamtąd, wolne od cła, przychodzą na nasze rynki. Są to przeważnie nieduże ryby, mniej świeże od naszych pomorskich, gdyż odbyły dwa razy dłuż-

Z DZIEDZINY KOSMETYKI RĘCE

Jedną z największych dolegliwości zimowych jest czerwonosć i chropowatość rąk. Z chwilą nadejścia chłódów, nawet najładniejsze ręce wymagają starannej pieczy. Aby przez całą zimę rączki były idealnie gładkie i białe, trzeba zaraz po umyciu, nie wycierając zupełnie do sucha, jeszcze w wilgotne ręce wetrzeć troszkę kremu **Pâte des prélats-Perfection**, który wciera się do sucha i daje wprost idealne rezultaty. Nawet najwięcej zniszczone i zaniedbane ręce, już po paru dniach nabierają aksamitnej gładkości i delikatności. Jeżeli idzie o wybielenie rąk, to po wtarcu **Pâte des prélats**, przypudrować grubo pyłkiem wybielającym **Juvenia Candida**. Stosując środki powyższe, ręce zimę będą idealnie gładkie i białe, pomimo chłódów i mrozów.

M-me Ercèdes.

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich drogerjach i perfumerjach.

Skład główny: Perfection—Szpitalna 10 w Warszawie.

KALENDARZ DZIECKA i MATKI na

1929 i 1930 rok

jest encyklopedją wszystkiego,
co matka wiedzieć powinna.

260 str. druku Cena 3 zł. 50 gr.
Z przesyłką poleconą 4 zł.

Wysła Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa, Krak.-
Przedm. 99. Konto P.K.O. Nr. 13.555.

szą drogę. Trudno je odróżnić od dorszy, łowionych na Helu lub w Kuźnicy, chociaż te są zwykle nieco większe, wagi ponad jedno kilo.

Należy pytać przy kupnie o pochodzenie ryb i wywierać moralny nacisk na kupców, zmuszając ich do sprowadzania dorszów krajowych. Trudno to jest dosyć, bo nieraz towar gdański jest tańszy, a tańszość jest argumentem tak przekonywującym, że walczyć z nim trudno. W każdym razie świeży dorsz jest rybą bezwzględnie smaczną i daje się przyrządzać na wszystkie te same sposoby, co sandacz, bo zapach „morszczyzny“, o który go pomawiają mniej doświadczone gospodynie i zacofane kucharki, jest zapachem tranu, znajdującego się w wątrobie dorsza i w jego głowie. Po usunięciu głowy i wątroby, należy jeszcze wyjąć dokładnie grubą błonę, znajdującą się wewnątrz ryby. Przed smażeniem można jeszcze sparzyć rybę i ściągnąć z niej skórę, wtedy będzie smakiem nawet przewyższała sandacza, będzie od niego bardziej łupka i delikatniejsza. Do gotowania skóry ściągać nie należy, aby dorsz się nie rozpadł przy gotowaniu. Tembardziej należy ją zachować całą do faszerowania, przy którym nawet ostrożność każe pozostawić na palec mięsa przy skórze. Drugą rybą morską, zasługującą na wprowadzenie jej do codziennej kuchni, naszej są małe śledzie, sielawkami morskimi lub z francuska merlanami zwane. Do gotowania nie nadają się wcale, zato smażone, z cytryną lub kwaszoną kapustą, są wyborne, a już marynowane, szczególnie po grecku z pomidorami i jarzynami, mogą zaspokoić najwybredniejsze gusta. Nakoniec, pomijając już łososie, węgorze i certy, jako dosyć kosztowne i przeważnie w stanie wędzonym lub solonym używane na przekąskę, muszę przypomnieć o flondrach. Ta, źle znoszona przewóz, łatwo psująca się ryba, do niedawna tylko w miejscowościach przy morskich była jadana. Obecnie dostawę ryb do stolicy tak udoskonalono, że przed kilku dniami widziałam żywe flondry, pływające w akwarjum witryny jednego z dużych handlowców ryb w śródmieściu. Był to fenomen, gdyż całe lata mieszkając w nadmorskim mieście i jadając wciąż flondry nigdy, tej żywej ryby poza łodzią rybacką nie widziałam. Jeżeli o tym fenomenie wspominam, to tylko aby dać świadectwo udoskonalonym środkom przewozowym, stosowanym na naszych kolejach. Świeża flondra, dobrze usmażona, z cytryną i sosem tatarskim, jest przysmakiem zupełnie pierwszorzędym, który pozwoli nam nie tęsknić do solek i turbotów, których przywóz jest obecnie zabroniony. Pani Elżbieta

O FARBOWANIU DOMOWEM

W dzisiejszych trudnych warunkach ekonomicznych każda pani domu, pracując w ramach własnego budżetu, musi stosować oszczędność na każdym kroku. Wiele prac gospodarskich da się wykonać w domu, trzeba tylko postępować umiejętnie. Do takich prac łatwych, a bardzo pożytecznych, należy farbowanie domowym sposobem. Każda szmatka, każdy kawałek materiału, koronki lub wstążki da się łatwo odnowić i zużyć, o ile to zrobimy umiejętnie.

Jest cały szereg barwników, o ślicznych odcieniach, do farbowania materiałów na zinną, do farbowania na gorąco (zapomocą gotowania), barwniki płynne do skór wszelkiego rodzaju. Trochę zręczno-

ści i uwagi, a stary przedmiot staje się od razu nowym i eleganckim, o ile zastosuje się ściśle do przepisu. Najlepsze farby krajowego wyrobu znane są w handlu pod firmą „Koloryt“.

Zalety tych wyrobów przewyższają podobne produkty zagraniczne, a łatwość ich zastosowania zjednywa im szeroką popularność, tembardziej, że są do nabycia wszędzie. M. D.

Przepisy Gospodarskie



SOSY DO KARPIA

Już tyle razy pisałam w „Bluszczu” o sprawianiu i gotowaniu karpia, że nie chcąc powtarzać, podam tylko kilka rodzajów sosów, z którymi można podawać tę wyborną, krajową rybę.

1. Sos szary. Zasmażyć łyżkę mąki z łyżką masła, rozprowadzić paru łyżkami ostudzonego smaku z ryby (warunek, aby się nie formowały kluski), rozbić dobrze. Włożyć dużą garść rodzynków sułtańskich lub bez pestek, drugą — mniejszą, migdałów słodkich, poszatkowanych w cienkie paski, zagotować razem, rozprowadzić smakiem z ryby do należytej gęstości. Wlać karmelu dla koloru, wcisnąć sok z cytryny i wrzucić trochę otartej cytrynowej skórki; wkruszyć kawałek piernika, miodowniką i zagotować jeszcze raz wszystko razem. Przed wydaniem włożyć do sosu łyżeczkę śmietankowego masła i wydać, nie gotując już więcej.

2. Sos kaparowy. Zrobić zwykłą zasmażkę z łyżki mąki i łyżki masła, rozprowadzić smakiem od ryby do gęstości zwykłego sosu, zakolorować kilkoma kroplami karmelu, włożyć łyżkę gotowej, angielskiej musztardy, łyżkę kaparów, gotować razem wolno, mieszając od dna, pięć minut. Odstawić od ognia, dodać dwie łyżki gęstej, kwaśnej, lecz nieprzekwasniałej śmietany, łyżeczkę masła śmietankowego i, nie gotując więcej, wylać do sosjerki, lub polać nim rybę.

3. Sos holenderski. Najwykwintniejszy z sosów, gdyż wymaga dużej ilości najlepszego masła i umiejętnego przyrządzenia przed samem podaniem. Stojąc, łatwo się warzy i naprawiany już nie jest tak smaczny. Zagotować sok z dużej cytryny, lub łyżkę dobrego winnego octu, ostudzić, rozbić w nim dwa świeże żółtka, wsypać łyżeczkę od kawy cukru i tyleż soli. Rondelek postawić na brzegu blachy i, wciąż mieszając zawartość, dokładać po niedużym kawałku dwadzieścia deka śmietankowego masła. Nie powinien się zagotować, a tylko zgęstnieć i zbieleć. Inny sposób przyrządzenia takiego sosu jest następujący:

Dwadzieścia deka masła utrzeć na śmietanę, dodać dwa żółtka, łyżkę dobrej mąki pszennej, ocu winnego, lub soku cytrynowego, odrobinę soli, łyżeczkę cukru. Dolać filiżankę rosółu z ryby, postawić na ogniu i ogrzewać starannie mieszając, aż zgęstnieje. Zagotować się nie powinien, gdyż żółtka się zwarzą. Mniej delikatny od uprzedniego, jest jednak bardzo smaczny i łatwiejszy do wykonania.

4. Masło sardelowe. Do karpia gotowanego bądź na niebiesko, bądź zwyczajnie, zamiast sosu wybornym dodatkiem jest masło sardelowe. Dwa wymoczone nieco serdele, lub ładnego różowego śledzia ulika obrać dokładnie z ości, przepuścić przez maszynkę, utłuc w moździerzu z dwudziestoma deka śmietankowego masła. Wcisnąć sok z pół cytryny, dodać na koniec noża białego pieprzu, wymieszać, uformować długi wałeczek i zastudzić. Pokrajać w talarki, ułożyć na kryształowym talerzyku i podawać do ryby.

SOSY DO SZCZUPAKA

Do gotowanego w całości szczupaka dobrze smakują następujące sosy:

Sos chrzanowy. Parę korzeni chrzanu wagi 10 deka), po oczyszczeniu utrzeć na tarce, pocukrzyć, posolić, skropić octem, potrzymać godzin parę, aby straciły zbytnią ostrość. Łyżkę masła rozpuścić, poddusić w niem chrzan. Dodać łyżkę maki, szklankę rosółu z ryby, zagotować. Osolić do smaku, wlać pół szklanki śmietany, zagotować raz tylko. Chcąc, aby ten sos był wykwintniejszy, zamiast śmietany bierzemy trzy żółtka i trzy łyżki śmietanki słodkiej. Gotować z niemi sosu nie należy, boby się warzył. Ogrzewa się, tylko, pilnie mieszając, aż do zgęstnienia.

Sos musztardowy. Dwie łyżki mocnej musztardy domowej, zmieszać w rondelku ze szklanką smaku z ryby i pół szklanką białego wina (może być owocowe.) Zasmażyć łyżkę masła i łyżkę maki, rozprowadzić tym zimnym smakiem. Zagotować razem, osolić. Włożyć łyżeczkę śmietankowego masła, wymieszać, nie gotując, i podawać.

Sos pieczarkowy. Dziesięć deka młodych, białych pieczarek pokrajać w paski, poddusić w sporej łyżce masła. Posypać łyżką maki. Rozprowadzić dobrą szklanką ostudzonego zupełnie rybnego rosółu, pół szklanką białego wina, rozbić mocno razem, zagotować. Wcisnąć sok z pół cytryny, osolić do smaku. Na wydaniu włożyć łyżeczkę śmietankowego masła i, nie gotując już więcej, wydać.

Do sandacza, oprócz wyżej wymienionych sosów, wybornie smakują jeszcze następujące:

Sos rakowy. Zimą, gdy niema świeżych raków, a mamy zakonserwowane szyjki i masło rakowe, można z nich zrobić sos, ustępujący wprawdzie przyrządzonemu ze świeżych raków, niemniej jednak smaczny i ładny w kolorze. Łyżkę zwykłego, dobrego masła zasmażyć z łyżką maki na biało, rozprowadzić szklanką zimnego rosółu z ryby. Dodać dwie łyżki rakowego masła, pół szklanki śmietany, zagotować raz tylko. Szyjki zakonserwowane wymoczyć dobrze z soli, włożyć do sosu i rozgrzać tylko, nie gotując.

Sos koperkowy. Usiekać dużą garść zielonego świeżego lub solonego koperku. W ostatnim razie sosu prawie nie solić: sól z koperku w zupełności wystarczy. Łyżkę masła zasmażyć na biało z łyżką maki, rozprowadzić szklanką zimnego rosółu z ryby, włożyć koperkę, pół szklanki śmietany, zagotować raz tylko, dodać odrobinę białego pieprzu i łyżeczkę śmietankowego masła. Chcąc ten sos podać wykwintniej, zamiast śmietany użyć można trzech żółtek, rozbitych z paru łyżkami zimnego rosółu. W takim razie sosu się nie gotuje, lecz tylko ogrzewa do zgęstnienia.

Sos rosyjski. Zasmażyć, jak zwykle, mąkę z masłem, rozprowadzić rosółem z ryby, tak, aby

sos był bardzo zawiesisty. Sporą marchew, mniejszą pietruszkę, pół selera i dwie cebule, pokrajane w cienkie paski, dusić z łyżką masła, aż zmiękną zupełnie. Dodać dwie łyżki konserwy pomidorowej, łyżkę musztardy angielskiej, łyżkę krajanych drobno korniszonów, łyżkę kaparów, kilkanaście oliwek bez pestek, zagotować razem. Złączyć z sosem rybnym, zagotować raz jeszcze. Osolić do smaku, popieprzyć lekko i połączyć tym sosem sandacza, ułożonego na półmisku i obłożonego kartoflami z wody.

Sos ze szczerym postem. Dwie łyżki gotowej domowej musztardy zmieszać z łyżką kopistą maki, pół szklanką oliwy i szklanką rosółu z ryby. Rondelek postawić na ogniu, ubijać trzepaczką, aż zgęstnieje, nie dając mu się jednak mocno gotować.

Wcisnąć sok z pół cytryny, osolić do smaku, wsypać łyżeczkę cukru, wymieszać i podawać. Wyborny sos do wszelkich ryb dla osób, które chcą zachować w dzień wigilii szczery post.

STRUCLA ORZECHOWA

Pół kilo maki rozczynić 8-ma deka drożdży, rozprowadzonych w szklance letniego mleka, dodać łyżeczkę od kawy soli, wybić, postawić w cieple, aby podrosło. Gdy ciasto dobrze ruszy, dodać kilo maki, osiem żółtek, ubitych do białości z czterdziestoma deka cukru, trzy ćwierci szklanki sklarowanego masła, kilka kropel olejku migdałowego lub cytrynowego, trochę utłuczonej miazgi wanilii i wyrobić, aż od rąk odstanie. Dać podrosnąć powtórnie. Tymczasem czterdzieści deka orzechów włoskich lub laskowych, już oczyszczonych z łupin, utłuc drobno lub utrzeć na maszynce, zmieszać ze szklanką cukru, szklanką przepuszczonego przez maszynkę, gotowanego ryżu, łyżką masła śmietankowego i czterema białkami. Masę tę wymieszać doskonale. Gdy ciasto dobrze wyrośnie, wyrzucić na stolnicę, podzielić na cztery równe części; każdy kawałek rozwałkować cienko, posmarować masą orzechową, zwinąć w wałek, zlepić starannie brzegi, aby farsz nie wypłynął. Dać podrosnąć raz jeszcze na blachach, posmarować żółtkiem, zmieszanym z mlekiem i cukrem. Piec w średnio gorącym piecu, trzymając dosyć długo, aby ciasto pomiędzy farszem się przepiekło. Utrzeć pół szklanki cukru pudru, z sokiem z pół cytryny i łyżką araku. Gdy masa gładka smarować nią piurkiem lub pendzelkiem gorące, wprost z pieca wyjęte strucle.

Pani Elżbieta

Encyklopedia dla wszystkich

Wydawnictwo Gutenberga przystąpiło do wydania Wielkiej Powszechnej Encyklopedji, największego dzieła w swoim rodzaju, jakie kiedykolwiek ukazało się w Polsce, z olbrzymią treścią 4 milionów słów i 10 tysięcy różnych ilustracji.

Encyklopedia stanowi niezbędną potrzebę każdego kulturalnego człowieka i powinna się ona znajdować w każdym domu. Encyklopedia informuje wszystkich o wszystkim i można się z niej nauczyć więcej, niż z każdej innej książki.

Do dzisiaj mogli sobie na takie dzieło pozwolić tylko bogacze, ale warunki Wydawnictwa Gutenberga, znane w całej Europie, umożliwiają każdemu stać się właścicielem Encyklopedji.

We własnym interesie musi każdy przeczytać ogłoszenie, zamieszczone w dzisiejszym numerze tego pisma.

KORESPONDENCJE

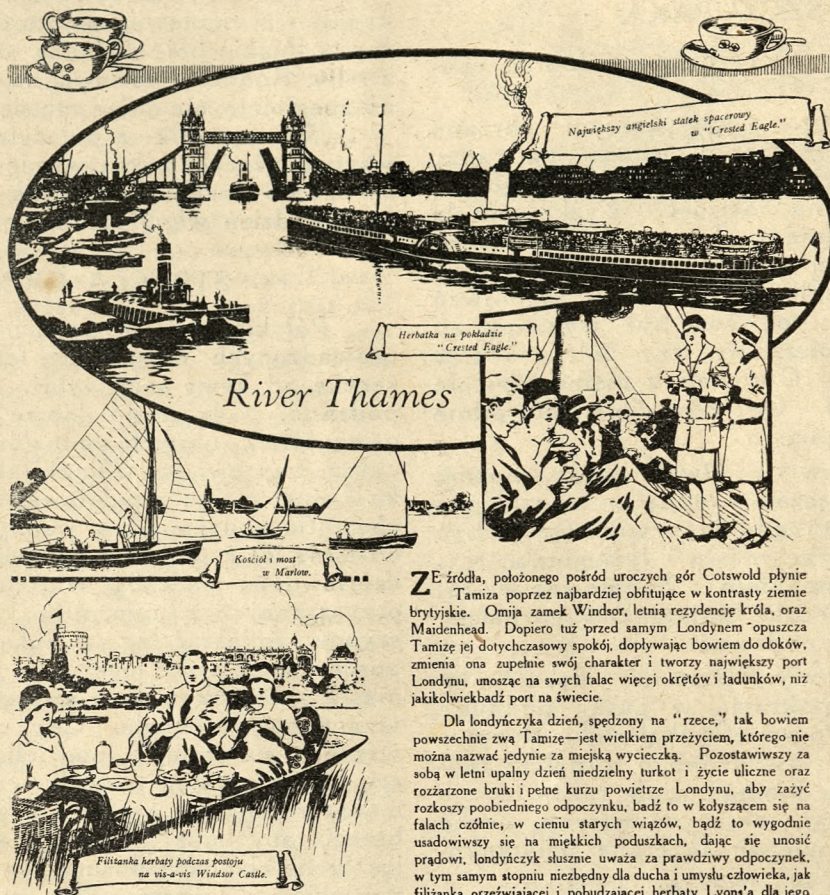
Pani St. K. w Żydachowie. Adres fabryki Wedla: ulica Szpitalna Nr. 8. w Warszawie.

Wyżymaczkę dostanie Sz. Pani w firmie „Dom i sport” (Aleje Jerozolimskie Nr. 16).

Pani S. L. — Maków. Do wytłaczania w skórze trzeba od-

powiednich przyrządów i kilku chociaż lekcji specjalnych. W tym celu niech się Sz. Pani zwróci do szkoły robót ręcznych p. Onichimowskiej (Krucza 16 w Warszawie).

Pani H. L. S. — Waplewo. Nikogo odpowiedniego narazie nie możemy polecić Sz. Pani. Radzimy zwrócić się do Tow. Ochrony Kobiet, adresując do pani Zarembiny (Warszawa, Czackiego 10). Zechce Sz. Pani powołać się na nas.



Z E źródeł, położonego pośród uroczych gór Cotswold płynie Tamiza poprzez najbardziej obfitujące w kontrasty ziemie brytyjskie. Omija zamek Windsor, letnią rezydencję króla, oraz Maidenhead. Dopiero tuż przed samym Londynem opuszcza Tamizę jej dotychczasowy spokój, dopływając bowiem do doków, zmienia ona zupełnie swój charakter i tworzy największy port Londynu, unosząc na swych falach więcej okrętów i ładunków, niż jakikolwiek inny port na świecie.

Dla londyńczyka dzień, spędzony na „rzece,” tak bowiem powszechnie zwą Tamizę — jest wielkim przeżyciem, którego nie można nazwać jedynie za miejską wycieczką. Pozostawiając za sobą w letni upalny dzień niedzielny turkot i życie uliczne oraz rozżarzone bruki i pełne kurzu powietrze Londynu, aby zająć rozkoszy poobiedniego odpoczynku, bądź to w kołyszącym się na falach czółnie, w cieniu starych wiozów, bądź to wygodnie usadowiwszy się na miękkich poduszkach, dając się unosić prądowi, londyńczyk słusznie uważa za prawdziwy odpoczynek, w tym samym stopniu niezbędny dla ducha i umysłu człowieka, jak filiżanka orzeźwiającej i pobudzającej herbaty Lyons'a dla jego organizmu.

HERBATE LYONS'a

Podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.



WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE I KRWA-
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
 DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
 APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



Nasza Mównica

Dr-owa M. D. — Warszawa.

Sprawa opieki nad matką i dzieckiem jest bezsprzecznie jedną z najbardziej bolących kwestyj społecznych. Zwłaszcza matki i dzieci opuszczone i zaniedbane przez mężów zasługują na szczególniejsze wyróżnienie.

Przechodząc rano przez jedną z najbardziej ruchliwych ulic miasta, byłam świadkiem sceny, która mną wstrząsnęła do głębi i pozostawiła niezatarte wrażenie.

Młoda kobieta z dzieckiem na ręku dopadła w bramie do młodego mężczyzny i głosem, rozpaczym pełnym, spytała: „Felek, gdzieś ty był?” Spokojnie i twardo odparł: „Tam, gdzie mi się podobało”. „Ależ mnie dziecko z głodu umiera, daj mi choć na mleko!” „Ja dziecka nie karmię”. I wtedy z jej ust posypał się grad potwornych wyzwisk, pogroźki o wypaleniu oczu i wreszcie razy obfite na jego twarz i głowę. Tej scenie przyglądał się tłum mężczyzn i kobiet. Jedni się śmieli z „poniewierki” mężczyzny, kobiety brały jej stronę, ale nikt nie odważył się stanąć w obronie kobiety pomiędzy mężem a żoną.

Po chwilowym uspokojeniu i zaprzestaniu ulicznej gonitwy, on znów twardo powiedział:

„Nie chcę z tobą żyć i co mi zrobisz? Nie ja tobą pogardzałem, a ty mną. Nie chcę z tobą żyć!” Błada, resztkami sił odparła: „Weź dziecko, ginę z głodu”. „Ja dziecka nie karmię...”

Nie czekałam dalszego ciągu, rozumiejąc aż nadto dobrze bezcelowość interwencji osoby trzeciej w takim wypadku. Ale scena ta, która napewno w tej samej chwili miała szereg podobnych na świecie, nasunęła mi pytania: co ma robić, do kogo udać się po obronę i opiekę kobieta, porzucona przez męża z małym dzieckiem, lub z dziećmi? Kto się nią i dzieckiem zaopiekuje, kto pomoże, kto stanie w obronie jej najświętszych praw?

Gorsząca scena na ulicy, wywołana skrajną rozpaczą porzuconej, nie ściągnęła nawet posterunkowego do obrony. Powstaje pytanie: co robić w podobnych wypadkach, jak reagować?

Lwowianka.

Kwestja t. zw. „starych panien” nie należy wprowadzić do najważniejszych zagadnień doby obecnej, lecz pragnę ją poruszyć w „Mównicy”, jako tę, która

przechodzi poważne zmiany i wymaga odpowiedniego wyjaśnienia.

Przeszedł już czas wyczekiwania męża, wypraszania go w szeregu westchnień i szeptów, i siedzenia bezproduktywnego w domu. Dziś prawie każde dziewczę dąży do t. zw. kawałka chleba i w najważniejszej części liczy się z tem, że, o ile wyjdzie za mąż, to nie po to, by być ładnym mebelkiem w domu, lecz aby dzielić trudy życia z człowiekiem kochanym. Z dnia na dzień widzimy więcej małżeństw „podwójnie pracujących”, przywykamy do tego zjawiska, godzimy się z niem. Obok tego — spotykamy dziś często kobiety samotne, po 30-ym roku życia, zarabiające dobrze, żyjące dostatnio, bądź utrzymujące ubogie rodziny, i dziwnie nam jakoś nazwać je „staremi pannami”. Łagodźmy ten dźwięk słowem „starsze panny”. Bo jakżeż to nazwać „starą panną” lekarkę, ordynującą wzorowo, zgrabną, wyćwiczoną sportowo, która nie trzyma kanarka, ani pieska, ani też nie gra „Modlitwy dziewicy”? Jakże nazwać „starą panną” dzielną prokurentkę banku, lub energiczną i pełną poświęcenia dyrektorkę szkoły? Rodzi się jednak pytanie: — dlaczego kobiety te są samotne? dlaczego nie znalazły kogoś, ktoby je kochał i szedł z niemi przez życie?

Czasem kryje się w tem jakaś bolesna zagadka, — zawód miłosny, śmierć ukochanego, — a częściej da się na to odpowiedzieć prosto i wyraźnie. Kobieta dobra, wykształcona i energiczna, nie może się czuć szczęśliwa przy boku bardzo szarego i przeciętnego mężczyzny. Sprytny karierowicz wzbudzi w niej odrazę moralną. Człowiek interesu, o niezbyt wyraźnej strukturze etycznej, nie złapie jej za cenę aut i wspaniałych tualet. Charakter trwożliwy, kryjący swe myśli i przekonania z obawy np. przed... emeryturą, wyda się jej godnym politowania, — i tak w mozaice ludzkiej trudno czasem kobiecie dobrać sobie typ czysty, prawy, energiczny, rozsądny, któryby dał jej miłość i szczęście. A że ma kobieta chleb w ręku, więc na loterii szczęścia ślepo nie gra i woli raczej życie samotne, niż takie, które mogłoby stworzyć katusze moralne.

Smutną dla takiej kobiety może być starość samotna. Ale czyż nie jest samotnem życie niejednej mężatki, która z mężem nie żyje duchowo, której jest on zupełnie obcy — a często obcy i dzieciom? Samotnej kobiecie praca zawodowa wypełnia dniem dojrzałego życia — starość dopiero stwarza obok niej pustkę — ale w duszy może ona mieć taką

głębiej uczuć, zdobytych doświadczeniem i walką, taką mądrość życia, że zdoła znieść pustkę spokojnie i bez bólu.

Zresztą, kobiety, pracujące zawodowo, mają możliwość złożyć sobie fundusz oszczędności na starość, by w razie niemocy fizycznej móc mieć opiekę i staranie. Uważam za rzecz konieczną stworzenie ogólnopolskiego Związku Kobiet pracujących zawodowo, którego jednym z zadań powinna być budowa domu dla samotnych staruszek. Staruszki te, w przeważnej części posiadające emerytury lub renty, opłacaćby mogły mieszkania, a wspólny dom, opieka lekarska—dawałyby im ulgę w dniach samotnej starości.

Pragnęłabym, aby w tej sprawie zabrało głos więcej pań, aby sprawa ta doszła do uszu naszych posłanek, któreby mogły wystąpić z szerszą inicjatywą w tym względzie.

M. Benisławska.

Słów kilka odpowiedzi w dwu sprawach, poruszonych w „Naszej Mównicy“.

P. Tropaczyńska mówi o nędzy szkół i dzieci na Kresach. Znam, wiem — „spohadam“ całą duszą!

W tej chwili mam jednak na myśli pewną bolączkę szkół powszechnych wogóle u nas: rozbrat domu — (zwłaszcza: chałupy) i szkoły. Radzą nad tem, nauczycielom gdzie niegdzie polecają szerszą pracę społeczną — ale oni mają czas tak zajęty — po wsiach są rozrzućeni i odizolowani samą przestrzenią — przepracowani są, pełniąc już tylko swoją fachową pracę... to też niekiedy — przeciwnie — władze im zalecają... poniechanie wszelkiej pracy poza szkołą...

Fakt jest, że rodzice nie doceniają szkoły... tak jak za arystokratycznych czasów! — Ci, włókwici — ci od 20-tej morgi wzwyż — znajdują, że ich dzieciom i bez nauki będzie dobrze na świecie. Ci, którzy nie bardzo mają co dziecku dać jeść — sądzą, że pilniejszą mają robotę — krowinę napaść, niemowlę nianńczyć, żeby starsi mogli iść na „dniówkę“. Kary pieniężne? Jeżeli są wysokie, gnębią biednych, mało przerażają zamożniejszych. Przy niskich—zamożniejsi tembardziej mówią: „stać mnie na to, żeby dziecka nie ganiać do szkoły“, — ubożsi: „w domu więcej zarobi, niż te tam parę groszy kary“.

Mnie się wydaje, że na to byłaby rada — tak prosta, że tylko się dziwię, iż nie zastosowana. Może są jakieś trudności, których nie dostrzegam.

Należałoby od rodziców wymagać nie żeby dziecko chodziło do szkoły do lat 14-tu, tylko żeby dziecko ukończyło tyle a tyle oddziałów szkoły powszechnej minimum, zanim się je uzna za wolne od obowiązku frekwencji szkolnej. Na szczegóły techniczne nie tu miejsce.

Druga sprawa, to zapytanie, rzucone przez P. Ninę Z.: Czy stosunek mężczyzny do kobiety nie może stracić na tem, jeżeli mężczyzna, czytając dane dzieła o kobiecie, zdoła głębiej pojąć jej najintymniejszą, psychiczną jaźń.

Dawne kobiety uskarżały się, że są „niezrozumiane“. — Czyżby Kobieta Nowa uskarżać się mogła na to... że będzie aż zanadto zrozumiana? Nie. Dorastajmy do Prawdy przez wielkie P — wszyscy. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Dorosnijmy przynajmniej do jej pożądanego i poszukiwanego. Inna sprawa, iż mam poczucie, że mężczyzna, jako taki, jest bardzo głęboko odizolowany, właśnie przez swoją męskość, od jaźni niewieściej psycho-fizjologicznej — i vice-versa. Może to jeden z warunków, żeby się oni — i one — tak sprzeczali i tak kochali?... W każdym razie nie przeszkodzi im w tem książka p. Grossek-Koryckiej — ani żadna inna; można zaręczyć.

Nawracając do rzeczy bardziej ogólnych, sądząc, że już nadszedł czas, kiedy t. zw. „feminizm“ powinien wejść — i wchodzi — w fazę pokojową: niekoniecznie podpisać jakiś pakt, zarządzić rozbrojenie — życie już to zrobiło. „Zmaganie się płci obu“ przechodzi w stadium: wzajemnego studiowania się; — walka o prawa — w przyznanie praw i... obowiązków. Dalszy ciąg — to będzie znowu może — rozsądny podział pracy.

Proponuję więc tymczasem: amnestja ogólna — i pojednanie. Tyle jest do roboty, a przy robocie trzeba się mocno wziąć za ręce i murem naprzód iść!

P. Karolina W. — Radom.

Napewno wiele Szanownych Czytelniczek prowadzi dokładne rachunki domowe. Czy która z pań nie zechciałaby dać mi wskazówek, jakie są dobre książki? Takie, w których byłyby gotowe rubryki różnych wydatków. Zapisując, bowiem, wszystko do ogólnej kasy, muszę potem tracić wiele czasu na wyciąganie oddzielnych pozycji, i nigdy nie mam jasnego obrazu, ile na co wydałam. Myślę, że w tej sprawie racjonalnego prowadzenia buchalterji domowej byłoby dużo do powiedzenia.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239.40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rybarska 8, tel. 244-18.

SPIS RZECZY

I. ŻYCIE SPOŁECZNE I RODZINNE, ZAGADNIENIA RELIGIJNE, FILOZOFICZNE, MORALNE, OBYCZAJOWE, PRAWNE

	Nr.		Nr.
Przed nową próbą sił — St. Podhorska-Okolów	1	Święto Matki w Polsce	16
Na drodze ku przebudowie społecznej — Bohdan Suchodolski	1	Żałosne macierzyństwo — J. K.	16
Usta, którym trzeba dać głos — Natalja Jastrzębska	2	Kapłanki wieków — M. H. Szpyrkówna	16
Kobiety wobec wyborów do Sejmu — Dr. Herminja Naglerowa	2	Dlaczego się nie rozumiemy — N. Jastrzębska	17
Kto powinien płacić — N. J.	2	Placówki — M. H. Szpyrkówna	17
Marnowanie skarbów społecznych — Dr. M. Kuźmińska	3	Rzecz najważniejsza — W. Borudzka	17
Przybywajcie — Natalja Jastrzębska	4	Tytułomanki — J.	17
Niewyczerpane źródło — Dr. Herminja Naglerowa	5	Taniec wśród mieczów — Dr. H. Naglerowa	18
Tajemnica uśmiechu — St. Podhorska-Okolów	6	Zanim klamka zapadnie — M. H. Szpyrkówna	18, 19, 20, 21, 22, 25
Powinniśmy tańczyć — N. J.	6	Ponura rubryka — I. Panenkowa	19
Opieka nad więźniami — Zofja Miszewska	7	Organizacja a jednostka — Z. Zaleska	20
W gorączce rekordu — St. Podhorska-Okolów	8	Rycerze Jutra — N. Jastrzębska	21
Posiew nienawiści — Stef. Podhorska-Okolów	9	Zmora młodości — Dr. H. Naglerowa	22
Dzisiaj inaczej — L. Gerlachowa	9	Co wy nam, a my wam dać możemy — N. Jastrzębska	23
Kult wielkich ludzi — N. Jastrzębska	10	Siostry z za morza — M. H. Szpyrkówna	23
Dom czy schronisko — Z. Miszewska	10	Dzień matki	24
O twórczą inicjatywę kobiet — Dr. H. Naglerowa	11	Macierzyństwo — N. Jastrzębska	24
Kobieta chińska — H. Wohlowa	12	Nowy typ kobiety-matki — Dr. Herminja Naglerowa	24
Jak pracują japonki — N. J.	12	Okno na szeroki świat — Z. Zaleska	24
Na niebezpiecznej drodze — N. J.	12	Matka — M. H. Szpyrkówna	24
Co przyniosły kobietom ostatnie wybory — N. Jastrzębska	13	Jak próżne kłosa z podniesioną głową — W. Borudzka	24
P. Prezydentowa Michalina Mościcka — J. K.	14	Dola pracowników umysłowych — N. Jastrzębska	25
Współżycie z ludźmi jako konieczność życia — L. Gerlachowa	14	Sport, a instynkt walki — J. Prażmowska	25
Kręgi na wodzie — R. Czekańska-Heymanowa	15	Odpowiedzialność honorowa kobiety — Dr. J. Świtalska-Fularska	26
Tragedja Ewy — M. H. Szpyrkówna	15	Musimy okazać światu nasze prace — N. Jastrzębska	26
		Moda—mody — M. H. Szpyrkówna	26
		Chwila dziejowa obecna — Z. Zaleska	27
		Na marginesie wielkich praw — M. H. Szpyrkówna	27
		Psychika niewolnika, a kodeks honorowy — Dr. Herminja Naglerowa	28
		O kobiecie międzynarodowej — M. H. Szpyrkówna	28
		Ile jest wart czas — N. J.	28
		Ruch kobiecy we Francji — Z. Zaleska	29

	Nr.
Joanna, dziewczyna rewolucji, Madelon — Dr. Herminja Naglerowa	29
Walka o Boga — M. H. Szpyrkówna	29
Służba ojczyźnie — Z. Zaleska	30
Armja najniezwyklejszych — St. Podhorska-Okołów	30
Testament zagrożonej diużyny — M. H. Szpyrkówna	30
Prawa matki w ustawodawstwie społecznym — N. Jastrzębska	31
Kultura ciała — M. H. Szpyrkówna	31
Uświadczenie obywatelskie kobiet — Dr. H. Naglerowa	32
Matka nad kołyską — J. Krawczyńska	32
Zawody letniskowe — M. H. Szpyrkówna	32
Jak bronić swego honoru — N. Jastrzębska	33
Kluby dziewczęce — Z. Miszewska	33
Trzy kobiety — M. H. Szpyrkówna	33
Do walki z próżniactwem — Dr. H. Naglerowa	34
Niewolnice — M. H. Szpyrkówna	34
Nowy triumf sprawy kobiecej — N. Jastrzębska	35
My i one — M. H. Szpyrkówna	35
Ważny zaczątek i mocna podbudowa — Dr. H. Naglerowa	36
Te, które opuszczono — J. Putiatycz-Surynowa	36, 37
Prawda istnienia — Z. Miszewska	36
Równe prawa — równe obowiązki — Z. Zaleska	37
Refleksje — M. H. Szpyrkówna	37
Dziecko — Z. Zaleska	38
Z zagadnień krajowej i międzynarodowej opieki nad matką i dzieckiem — H. Gołogórski	38, 39
Najtrudniejszy wiek — N. Jastrzębska	38
Będzie im dobrze — W. Borudzka	38
Umiejmy wystarczyć sobie przez całe życie — N. Jastrzębska	39
Nieco o Białce — M. H. Szpyrkówna	39
Obok życia — Z. Zaleska	40
Dlaczego kobietom brak odwagi — N. Jastrzębska	40
O apatii kobiet samotnych — S. Borowska	40
I tu potrzeba poczucia solidarności — H. Naglerowa	41
Pisklęta — M. H. Szpyrkówna	41
Jaką powinna być żona pisarza — Jessie Conrad Korzeniowska	41
Pionierki ziem obiecanych — M. H. Szpyrkówna	42
Światło pod korcem — Z. Zaleska	43
Walka z wampirem — M. H. Szpyrkówna	43
W odpowiedzi — Z. Rzepecka	43
Polska musi mieć czynny bilans handlowy — N. Jastrzębska	44
Więć i cały kraj — Z. Zaleska	44
Ciemne moce — M. H. Szpyrkówna	44
Prawo pięści i różgi — Dr. H. Naglerowa	45
Pamiętaj, abyś dzień święty święcił — M. H. Szpyrkówna	45
W dziesięciolecie szczęścia — N. Jastrzębska	46
Praca w organizacjach społecznych — Z. Zaleska	46

	Nr.
Stanowisko obywatelki w wolnej Polsce — J. Jęzierska	46
Macierzyństwo pod opieką państwa i społeczeństwa — J. Krawczyńska	46
Kobieta w pracy zawodowej — Eugenia Wasniewska	46
Urzędniczy — J. K.	46
Idea przysposobienia wojskowego — J. Prazmowska	46
Kobieta w Polskim Czerw. Krzyżu — M. Dobrowolska	46
Na wschodnim froncie — A. Roszkowska	46
Przemiany — M. H. Szpyrkówna	46
Niedola małych białych niewolników — Zofja Drabikowa	47
W imię dalekich — M. H. Szpyrkówna	47
Co i jak mamy produkować — Natalia Jastrzębska	48
O równe prawa dla kobiet we Francji — Z. Zaleska	48
Na drogach emancypacji — Z. Miszewska	49
Liga reformy postępowania honorowego — N. Jastrzębska	49
Nieco o pracy — M. H. Szpyrkówna	49
Cudownicy — M. H. Szpyrkówna	50
Najniezwyklejsze matki — N. Jastrzębska	51
Niechaj nasz ogień nie będzie słomiany — Róża Czekalska-Heymanowa	51
Rozważania — M. H. Szpyrkówna	51
To, co trwać powinno — N. Jastrzębska	52-53
W grudniową noc — M. H. Szpyrkówna	52-53

II. WYCHOWANIE, PEDAGOGJA, SZKOLNICTWO

Amerykańska Szkoła dla dziewcząt — W. Penszkowa	3
Szkoła, a współczesność — N. Jastrzębska	5
Młodzież w świetle badań psychotechnicznych — P. Macewicz	5
Zasady dobrego wychowania — Pani Elżbieta	5
Zdrowa rasa ludzka, a kwestja kobieca — dr. H. Naglerowa	8
Nowa psychologia i nowa pedagogika — Irena Panenkowa	9, 16
Szkolnictwo w Japonji — N. Jastrzębska	12
Duch nowego wychowania — B. Suchodolski	13, 14
Reformy ustroju szkolnictwa zagranicą — B. Suchodolski	18
Dwa zjazdy pedagogiczne — N. Jastrzębska	18
Problemat Szkolnictwa żeńskiego — J. Mazur	20
Reforma programów szkolnych zagranicą — B. Suchodolski	21
Poradnia dla dziewcząt — P. Macewicz	21
Wykształcenie zawodowe kobiet — Wanda Borudzka	22
Wykształcenie zawodowe kobiet — Zofja Miszewska	23, 27, 31, 32, 35, 37, 43
Ilość studentek w polskich szkołach akademickich — Lidja Kozakówna	26

Tyrania stopnia — W. Borudzka . . .	27
Harcerstwo żeńskie — Z. Zaleska . . .	28
Złot harcerek w Rybieniu — J. Prażmowska . . .	31
Najsurowszy sędzia — J. Prażmowska . . .	42
Ludzie źle wychowani — J. S. . . .	44
Kobieta w szkolnictwie w okresie niepodległości — dr. J. Młodowska . . .	46
Harcerki, Sokolice, Strzelczynie — J. P., Z. Z., M. M. . . .	46
Koedukacja w szkołach średnich na prowincji — Marja Gołabowa . . .	48
Badania psychologiczne w szkołach powszechnych w Warszawie — M. Grzywańska . . .	49

III. SPORT I WYCHOWANIE FIZYCZNE

Coś niecoś o narciarstwie — L. R. . . .	1, 2, 3, 4
Po Olimpiadzie w St. Moritz — R. . . .	13
Sezon wiosenny w sporcie — M. . . .	17
Nasi olimpijczycy . . .	33
Obozownictwo, jako sport — Z. Zaleska . . .	34
Wychowanie fizyczne i higiena — J. Prażmowska . . .	34
Wychowanie fizyczne kobiet — M. Miłobędzka . . .	46
Sport i wychowanie fizyczne — „ . . .	48, 51

IV. STUDJA HISTORYCZNE, LITERACKIE, ETNOGRAFICZNE, KRAJOZNAWCZE

Impresje kościelne — Zygmunt Knothé . . .	1, 4, 8, 19
Wygra, czy zdobędzie — St. Podhorska-Okolów . . .	3
Kobieta w epoce Odrodzenia — Paula Lamowa . . .	3, 4, 11
Kraków i Warszawa w 1813 r. — Anna Nakwaska . . .	6, 7, 8, 9, 10, 11
Taniec i muzyka w epoce Odrodzenia — P. Lamowa . . .	6
Puchar, rzeźbiony krwawymi łzami ojców — St. Podhorska-Okolów . . .	7
Zapusty — J. Tuwanówna . . .	8
Kobieta Dalekiego Wschodu — St. Podhorska-Okolów . . .	12
Ibsen a sprawa kobieca — St. Podhorska-Okolów . . .	14
Zwyczaje Wielkanocne ludu francuskiego — A. Z. Czerny . . .	14, 15
Wielkanoc — J. Tuwanówna . . .	18
Miasto Fata-Morgany — St. Podhorska-Okolów . . .	19
Poemat o ziemi — St. Podhorska-Okolów . . .	19

Obrazy z historii mody — St. Zahorska . . .	19, 21, 24, 30, 32, 33
Na progu niewiadomego — St. Podhorska-Okolów . . .	22
Dramat za ścianą — St. Podhorska-Okolów . . .	25
Kobieta w epoce Odrodzenia — P. Lamowa . . .	28
Dusza kobiety — Gina Lombroso . . .	30, 31, 32, 34, 35, 36
Ogrody i parki — Zygmunt Knothé . . .	31
Z dziejów robotnicy francuskiej — St. Podhorska-Okolów . . .	31
Mokotów — Antoni Urbański . . .	40
Ogrody i parki w Polsce — Z. Knothé . . .	42
10 lat pracy literackiej kobiet — H. Naglerowa . . .	46
Praca naukowa kobiet — Z. Miszewska . . .	46
Serce Północy — Z. Miszewska . . .	47
Tradycja Bożego Narodzenia — J. Tuwanówna . . .	52/53

V. KORESPONDENCJE, WRAŻENIA Z PODRÓŻY, FELJETONY

Dusza tańca — Well . . .	6
Opieka Polska w Paryżu — J. Putiatycz-Surynowa . . .	11
Wrażenia z Bukaresztu — Z. Rabska . . .	21
Tydzień w Poznaniu — p. Elżbieta . . .	21
Listy z Paryża — J. Putiatycz-Surynowa . . .	22
Wrażenia z wystawy łowickiej — Well . . .	24
List z Paryża — M. . . .	25, 26
Dziesięć dni w Czechosłowacji — M. Karczewska . . .	27, 28
Floralies w Gandawie — F. Retinnger-Zubrzycka . . .	28
Na wycieczkę — p. Elżbieta . . .	28
Tydzień w Pradze — p. Elżbieta . . .	30
Polskie Biarritz — St. Podhorska-Okolów . . .	32
Miasto z czarodziejskiego stoliczka — St. Podhorska-Okolów . . .	36
Dożynki w Spale — S. P. O. . . .	37
Targi północne — Z. J. . . .	38
1200 klm. autem przez trzy dni — St. Podhorska-Okolów . . .	39
Targi wschodnie we Lwowie — J. Łada-Walicka . . .	39, 40
Wystawa hodowlana w Wilnie — p. Elżbieta . . .	40
Poznań w obliczu Wystawy Krajowej — W. D. . . .	41
Z powodu wystawy regionalnej w Wilnie — p. Elżbieta . . .	41
Berlińska wystawa „Odżywianie” — K. Choleńowska . . .	42, 43
Saffa — M. P. . . .	43, 44, 45
Listy z nad Gangi — Kamalini Shirnagarmir . . .	47
Antrakty — Stef. H. . . .	48
Wrażenia z pobytu w Wile — S. Borowska . . .	49
Korespondencja z Anglii — H. S. . . .	49
53-cia środa literacka w Wilnie — Eugenia Masiejewska . . .	50
11-ty listopada w Paryżu — J. Putiatycz-Surynowa . . .	51

VI. ŻYCIORYSY, SYLWETKI, WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

Ś. p. Jadwiga Sikorska — St. Podhorska-Okółów	1
Ś. p. Antoni Osuchowski—St. Podhorska-Okółów	4
Kiku-Yamata, powieściopisarka japońska — dr. M. Kastarska	12
Marja Weryho-Radziwiłłowiczowa—J.W. Kosmowska	13
Wanda Landowska przy klawecinie — P. Lamowa	14
Żywot świętego społecznika — St. Podhorska-Okółów	15
Ś. dr. Józefa Joteyko — N. Jastrzębska	19
Ś. p. Bronisława Ostrowska — St. Podhorska-Okółów	23
Skon Msr. Pankhurst—N. J.	27
Siostra potępionych—J. Krawczyńska	35
Józef Marja Hoene-Wronski — P. C.	35
Marja Szczyt-Lednicka—dr. M. Kastarska	41
40-lecie zasłużonej pracy	42
W 20-tą rocznicę skonu Deotymy — N. J.	43
Ś. p. Stanisław Noakowski — Z. K.	44
Ś. p. Józef Kotarbiński — N. J.	45
25-cio lecie gimnazjum A. Walickiej — T. U.	47
Promienny Jubileusz — J. M.	48

VII. POWIEŚCI, NOWELE, OPOWIADANIA

Jemioła — Han. Skar.	1, 2, 3
Kaczęta (powieść) — W. Miłaszewska	1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11
Dziewczyna z zimorodkiem—Ewa Szelburg	2, 3
Świat w słoiku—Ewa Szelburg	4
Przygody błękitnych możliwości—M. H. Szpyrkówna	5, 6, 7, 8, 9, 10, 11
Dobra wróżka — Ewa Szelburg	6
Karnawał — L. Krzemieniecka-Wolicowa	6
Szpara nad progiem—Ewa Szelburg	9
Uliczny sprzedawca lampjonów—Z. Kachelówna	12
Legenda o Bogu, opiece małżeństw — tłum. S. Szukiewicz	12
Niemowlę chińskie — J. Krajewska	12
Most — F. Kruszevska	13
Za ramą lustra—H. Naglerowa	13, 14, 15, 16
Chryzantes i Darja — Z. Reut-Witkowska	14, 15, 16, 17
Z okna wagonu — Ewa Szelburg	16
Na wiosnę — H. M. Dąbrowolska	18
Ubogi krewny — M. Gębarzewski	19, 20
Wędrownica z wiatrem — W. Borudzka	19
Kukułka — Ewa Szelburg	20
Kryształowa kula — Max Witt	21, 22, 23, 25, 26, 27
Dziewczynka-Mandarynka — Dziewanna Lipkowa	22

Stary kraj—Róża Czekańska-Heymanowa	23
Dzyngilgil — Ewa Szelburg	23
W starem lustrze — Br. Ostrowska	25, 26, 27, 28, 30
Pszczóły — Ewa Szelburg	27
Panna Ada — Zofja Sikorska	28
14 lipca—Róża Czekańska-Heymanowa	29
Willa pod miastem — M. Morozowicz-Szczepkowska	30, 31, 32, 33
Zwyczajne dzieje — Karol Poraj-Koźmiński	31, 32, 33, 34
Płotka — Ewa Szelburg	34
Kochanek panny Ady — A. Fag	35, 36
Bzik pani d'Estrailles—Maurice Renard, przeł. G. Karski	35, 36, 37, 38
Przed odlotem — Ewa Szelburg	39, 40
Baby — A. Fag	38, 39, 40, 41
Seminarzystka — Z. Sikorska	38
Niepotrzebne wzruszenie — H. Naglerowa	40, 41, 42, 43, 44
Cień — M. Stagińska	42
Czujny stróż — Z. Reut-Witkowska	43, 44
Powrót Anny Klebst — Lena Sölm	45
Tym, które przetrwały—Hanna Skarbek	46
Katarzyna — Ewa Szelburg	47
Bliźnięta owczarzowe — L. Knollówna	47, 48
Kamienie w ogniu — A. Fag	48, 49
Rafałek i Dulcinea — Felicja Kruszevska	49, 50, 51, 52/53
Ojciec i syn — H. Naglerowa	52/53
Nowela № 1241 — Z. Kleszczyński	52/53
List sentymentalny — S. Borowska	52/53

VIII. POEZJE.

Krzysztof w służbie u diabła — I. K. Iłakowiczówna	1
Pielgrzymi — Wieś — Róże — Tadeusz Zajączkowski	2
Mról—L. Krzemieniecka-Wolicowa	3
Grudniowy wiersz — A. Wolica	3
Listy,—Nicotiany — W. Rymwid-Mickiewiczowa	4
Wiersz cichy — Cudzej narzeczonej — Jan Szczawiej	5
Noc karnawałowa — Zofja Rościszewska	6
Kulig — A. Maliszewski	6
Sułtańskie dzieci — Nastrój — Nad grobem wieiórki — M. Starzewska	7
Szkiełka wróżebne — Judyta — Nina — Alina — Olga—K. Iłakowiczówna	9
O dolince Olczyńskiej — List z Zakopanego — Wiatr halny — Felicja Kruszevska	9
Robert — Piotr — Ludwik — Jacek — K. Iłakowiczówna	10
Pokój—Pani z portretu—Ukamenowana—Z. Rościszewska	11
Księżycowe stare miasto—Tęcza i burza—Nakanishi-Godo	12
Don Kiszot — St. Miłaszewski	13
Powrót—Biblioteka — Gabryel Karski	14
Wiersz o Zmartwychwstaniu—F. Kruszevska	15

	Nr.
Ballada—Godziny—Powrót nad rzeką—Z. Kachelówna	16
Wieczór—Psyche—Trzy cnoty — T. Zajackowski	17
Wiosna na wsi—Wiosna w mieście—L. Krzemieniecka-Wolicowa	18
Jabłoń—Gęstwina—Leszczyna—M. Czerkawska	19
Słowo—Zapach—Kotara z chmur—Noc nad morzem — Anna Słonczyńska	20
Rzodkiewki—Kartofle—Groch—L. Krzemieniecka-Wolicowa	21
Biała godzina—Przedwiośnie i dziewczynka — Pogoda—Bliźni—Bronisława Ostrowska	22
Powitanie—L. Krzemieniecka-Wolicowa	23
Droga — Felicja Kruszevska	24
Liryki — Gabryel Karski	25
Kraków—A. Wolica	26
Wieki widome i wieki niewidome — Anna Ludwika Czerny	27
Niebieski gość — Anna Słonczyńska	28
Francja — Bożymir	29
Burza—Pogrzeb infantki—Marja Pawlikowska	30
Targ — L. Krzemieniecka-Wolicowa	31
List — Żniwa — Felicja Kruszevska	32
Wakacje — Janusz Stępowski	33
Wiersze drobniuchne—Wiatr—Koniczynka—Pod płotem — Felicja Kruszevska	34
Czarownica-podlotek—Czary—Marja Pawlikowska	35
Pogoda—Kąpiel — Zygmunt Łotocki	36
Modlitwa ślepego lunatyka — Szekspir i chryzantemy — K. I. Gałczyński	37
Dni dziecięce — L. Krzemieniecka-Wolicowa	38
Droga do Krzemieńca—Noc na górze Bony — Felicja Kruszevska	39
Pustynia—Szeherazada—Tysiąc i jedna noc — L. Krzemieniecka-Wolicowa	40
Mgła na morzu—Zachód nad morzem—Anna Słonczyńska	41
Pejzaż—Miłość — K. Iłakowiczówna	42
Podróż—Westchnienie—Hanna Mortkowiczówna	43
Modlitwa—Modlitwa za szalonych — Felicja Kruszevska	44
Smutny świt—Wieczór—M. Czerkawska	45
Ojczyzna — Felicja Kruszevska	46
Jesień—Łdawało się że już nigdy nie będzie— L. Krzemieniecka-Wolicowa	47
Zimno — K. Iłakowiczówna	48
Odjazd — Felicja Kruszevska	49
Niebieski gość — Anna Słonczyńska	50
Strzępy i włókna: Okragły wiersz,—Fermata, — Czary — K. Iłakowiczówna	51
Boże Narodzenie — L. Krzemieniecka	52/53

IX. Z KSIĄŻEK.

Nr. 1, 5, 10, 16, 23, 25, 26, 27, 28, 29, 34, 48, 51, 52/53.
--

X. TEATR I KINO.

Nr. 1, 2, 3, 4, 7, 8, 9, 10, 11, 13, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 28, 30, 32, 33, 34, 35, 36, 38, 39, 40, 43, 44, 45, 47, 48, 49, 51, 52/53.

XI. MUZYKA, MALARSTWO, PLASTYKA

Z wystaw — l. j.	1
Z życia muzycznego — P. L.	2
"Kronika plastyczna — l. j.	4
Z życia muzycznego — P. L.	5
"Kronika plastyczna — l. j.	6
Z życia muzycznego — P. L.	8
Muzyka żółtej rasy — P. Lamowa	9
Z życia muzycznego — P. L.	10
Muzyka żółtej rasy — P. Lamowa	12
Z życia muzycznego P. L.	13
Z życia plastycznego — l. j.	14
Z życia muzycznego — P. L.	15
Wlastimil Hofman — W. Bunikiewicz	17
Z życia muzycznego — P. Lamowa	17
Obrazy Ireny Łuczyńskiej-Szymanowskiej — St. Podhorska-Okolów	18
Z życia muzycznego — W. Borudzka	21
Macierzyństwo w Sztuce — l. j.	24
Ewa Edwarda Wittiga	25
Z życia muzycznego — P. L.	26
Kobieta w sztuce francuskiej — Wacław Husarski	29
Polskie dzieci w portretach Vigeé Lebrun — Aurelja Wyleżyńska	30
Z powodu nagrodzenia prac prof. Skoczylasa — l. j.	37
Bambino — l. j.	38
Sztuka Rokoka — W. Husarski	43, 44, 45
Sztuka — J. Jabłonkówna	46
Wystawa doroczna w Związku artystów-plastyków — l. j.	49
Z życia muzycznego — P. L.	50

XII. KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

Nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 9, 10, 12, 13, 14, 15, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 25, 26, 27, 28, 30, 31, 32, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 45, 47, 48, 49, 51.
--

XIII. DODATEK POWIEŚCIOWY.

Smutniejsze, niż miłość — Zofja Casanova — tłum. L. Lutosławska	1
Tragiczny związek — Daisy di Carpenetto — tłum. J. B. Salkowska	2
Młyny Postoła — Jordan Jowkow	3, 4
Kłęska mrozu — Monteiro Lobato	5, 6
Tydzień w raj — Marino Moretti	7, 8, 9, 10, 11

	Nr.
Bukiet róż — P. Pierow	11, 12
Murzyniątka — Binifred Sacford	13, 14
Niewolnicy — Monteiro Lobato	15, 16, 17, 18, 19
Bursztynowa księżniczka—Georges Worbs	19, 20, 21, 22
Polowanie — Teffi — przeł. Z. M.	22, 23
Jej grzech — Edna Bryner	24, 25
Oblubieńcy — M. Benisławska	26, 27, 28
	29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40,
	41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52/53

XIV. M O D A

Na karnawał — Well	1
Sortie de bal — „	2
Przegląd karnawałowy — Well	4
Krynoliny	4
Przy sportach zimowych — Well	5
Aksamity i koronki — „	6
Kilka sukien balowych	6
Do ślubu — Well	7
Bluzka-żakieć	7
Kapelusze — Well	8
Przedwiośnie — Well	9
Czarne i białe — „	10
Modne fantazje — „	11
Na po domu — „	12
Suknie dla pań w poważnym stanie	12
Pod znakiem wełny — Well	13
Spódniczka i jumper — „	14
Letnie sukienki — Well	15
Nowe spódniczki — Well	16
Kapelusze — Well	17
Grochy i groszki — Well	18
Dwie tendencje mody wiosennej	19
Rola kapelusza w sylwetce — H. Wolska	19
Na temat szlafroka — Well	20
Degradacje — Well	21
Bluzki „	22
Kostjumy i płaszcze kąpielowe — Well	23
Letnie garsonki „	24
Wzorzyste muśliny „	25
Parę kompletów sportowych „	25
Suknie z dwóch tkanin „	26
Sukienki na wieś i na letnisko „	27
Szale i apaszki „	28
Letnie kostjumy z tafty i mory „	29
Wytworna bielizna — Helena Wolska	29
Praktyczne sukienki — Well	30
Transformacje „	31
Koronkowa moda „	32
Crêpe satin „	33
Płaszczki i ensembles „	34
Wycieczki samochodowe „	35
Sprawy bieliźniane „	36
Po powrocie do miasta „	37
Robe écharpe „	38
Horoskopy na sezon zimowy „	39
Eleganckie fartuszki „	39
Kostjumy jesienne „	40
Kapelusze „	41
Aksamit „	42
Okrycia na zimę „	43
Modne tkaniny „	44

	Nr.
Suknie na codzień „	45
Dziesięć lat mody „	46
Garderoba kobiety pracującej „	46
Futra „	47
Ostatnie modele sukien „	48
Bluzki „	49
Modna bielizna „	50
Suknie z krajowego jedwabiu „	51
Zarzutki wieczorowe „	52/53

XV. ROBOTY I ZDOBNICTWO

Pokaz robót kobiecych u Ziemiarek — Pani Elżbieta	1
Firanka ręcznie haftowana	1
Chustka z crêpe de chine'u, ozdobiona szydełkiem	2
O malowaniu farbami do prania — Antoni Buszek	3
Jak zużytkować resztki sukna	4
Estetyka robót ręcznych — W. Młodożeńcowa	5
Haft norweski	5
Kompozycje — W. Młodożeńcowa	9
Dwa modne woreczki	10
Koperty do serwet	11
Sukienka do chrztu	11
Serwetka na środek stołu	12
Zmodernizowane kimono	12
Kamizelka haftowana krzyżykami	13
Płaszcz ozdobiony aplikacją ze skóry	13
Koronka bretońska	15
Poduszki do hallu	15
Garsonka na drutach	16
Meble na letnisko	16
Wzór aplikacji na poduszkę	16
Czepeczek haftowany	17
Dwa woreczki	17
Szematy kompozycyjne — W. Młodożeńcowa	18
Haft richelieu	18
Przybory podróżne	19
Damski i męski pullover	20
Abażur do lamp majolikowych	26
Praktyczny woreczek na letnie spacer	29
Futerał do kart do gry	32
Modne abażury	32
Praktyczne futerały	37
Kolorowa stora, wykonana szydełkiem	44
Dwa jumpery szydełkowe	48
Stylizacje — W. Młodożeńcowa	49
Tamponowanie na jedwabiu — J. Prażmowska	50
Technika — Wanda Młodożeńcowa	51

XVI. DOM I GOSPODARSTWO

W noc noworoczną — Pani Elżbieta	1
„Vici“ — Pani Elżbieta	2
Gastronomia poprzez wieki — S.S.	3, 4
Pomysłowość w kuchni — Pani Elżbieta	4
Ekonomiczne opalanie — inż. T. Ingwer	5, 7
Ekonomia domowa na Kongresie międzynarodowym — M. Karczewska	8, 9, 10, 11

	Nr.
Podział wieprza — Pani Elżbieta	8, 9
Centralne ogrzewanie wodne	8
O occie domowym słów parę — Gospośia	9
Inwentarz — Pani Elżbieta	10
Kuchnia u różnych narodów — S. S.	10, 11
Kuchnia japońska — S. S.	12
Galarety — Pani Elżbieta	12
Urządzenie kuchni nowoczesnej — J. S.	13
Na postne tematy — Pani Elżbieta	13
Święcone — Pani Elżbieta	14
Domowe farbowanie jaj — Pani Elżbieta	14
Wychowanie nowoczesnej gospodyni — R. Pe- lantowa	14, 15
Kiedy i jak podawać wina — J. S.	15
Jak prasować i dekatyzować materiały — J. S.	16
Jadłospisy wiosenne — Pani Elżbieta	16
Odżywianie w jadłodajniach — Pani Elżbieta	17
Chemja w kuchni — Inż. T. Ingwer	17, 18
Skromna kolacja — Pani Elżbieta	18
Malowanie i utrzymanie podłóg — J. S.	19
Róża — J. S.	22
Podwieczorek w maju — Pani Elżbieta	23
Serwety i obrusiki — J. S.	25
Słońce — W. D.	27
Kuchnia francuska — Pani Elżbieta	29
Mole i króliki — H. Michalecka	30
Pragnienie — J. S.	31
Gołębie — W. D.	32, 33, 34, 35
Ryby morskie — Pani Elżbieta	32
Upzemysłowiajmy nasze sady — mar-mor	33
Współczesne gotowanie — Pani Elżbieta	34, 35, 36, 37
Ciekawe wynalazki — J. S.	36, 40
Napoje chłodzące — Pani Elżbieta	36
Suszone jarzyny i suszone owoce — mar-mor	38
Jak przechowywać produkty — J. S.	39
Obiady na maszynie — Pani Elżbieta	39, 40
Urządzenie trzech pokoi w jednym — J. S.	41
Zużytkowanie ziemniaków — L.	42
W sezonie polowań — Pani Elżbieta	43
Drobne ułatwienia w gospodarstwie domowym — Pani Elżbieta	44
Gruszki — Pani Elżbieta	44
Ewolucja gospodarstwa domowego — Pani Elżbieta	46
Spizarnia w mieście — Pani Elżbieta	47, 48
Elektryfikacja gospodarstwa domowego — inż. T. Ingwer	48
Odżywianie a zdrowie — Marja Moszkow- ska	49, 50
Święta — Pani Elżbieta	51
O rybach na wilję — Pani Elżbieta	52, 53

XVII. KULTURA CIAŁA

3, 7, 11, 16, 20, 24, 29, 33, 37, 42, 45, 50.

XVIII. OGRODNICTWO

Przesadzanie drzew starych — St. Schönfeld	7
Tarczyki — "	8
O kopaniu — "	13

	Nr.
Zdobienie balkonów roślinami	25, 26
Pakowanie truskawek — "	27
Uprawa endywi — "	31
Skrzynki do owoców — "	35
Drzewa liściaste — "	36
Jabłka piegowate — "	38
Trawniki w jesieni — "	39
Przechowywanie owoców — "	47, 48

XIX. RÓŻNE

Listy, które nie dochodzą — W. D.	1
Życzenia — J. S.	1
Psychologia mody — dr. St. Zahor- ska	2, 3, 4
Psia dola u nas i gdzieindziej — H. S.	5
Karnawał — W. D.	6
Przyjęcia zaręczynowe i ślubne — J. S.	6
Tematy karnawałowe — Pani Elżbieta	6
Historja pączka karnawałowego — Szyc- Korska	8
U źródeł mody — N. J.	10
Jak odświeżyć suknie plisowane — J. S.	10
Życie i mody kobiet japońskich — J. S.	12
Uczciwość zawodowa — W. D.	13, 14
Odrodzony Sejm w szacie z marmuru — St. Podhorska-Okołów	14
Dziesięciolecie Koła Polek	15
O polskość naszych wnętrz — Morozowicz- Szczepkowska	15, 18, 20, 21, 22
Nakrycie głowy, a dach — Z. Z.	15, 16
Inteligentka — Z. Zaleska	17, 18
Ogródki dziecinne — W. D.	18, 19
Coś niecoś o odpoczynku — H. Skarbek	19
Up. Bolesława Horodyńskiego — P. Elżbieta	19
Do Londynu — Hanna Skarbek	20
Kathleen "	21
Angielska sobota "	22
O gościnności coś niecoś "	23
Plotka — W. D.	23
Kobiety na II Zjeździe naukowej organ. — J. Krawczyńska	25
Czwarty zjazd gospodyń czeskich — Pani Elżbieta	25, 26
Życie towarzyskie i domowe we Francji — J. N.	29
Kilka słów o rozmowie towarzyskiej — Róża Czekańska-Heymanowa	30
Jak się zestarzeć — N. J.	31, 32
Dziesięciolecie Państwowego Sem. naucz. gosp. domowego — Pani Elżbieta	31
Umiejętność życia — W. D.	34
Czego najbardziej załujemy, starzejąc się — W. N.	35
Estetyka wystawy sklepowej — Helena Wolska	35, 38, 39, 40, 41
Kwiaty i kwiatki	37
Umiejmy być wdzięczni	38
Powrót do gniazd — W. D.	39
Współpraca kobiet w budownictwie mieszkal- nem — J. K.	41
Budżet toaletowy — Well	44
Sztuka stosowana — J. Ładzińska	46
Zmiana w stosunkach towarzyskich powojen- nej doby — L. Gerlachowa	47

Śladami zagranicy — Z. Miszewska	48
Pożyteczna moda — J. S.	48
Szósty Zjazd gospodyń — M. Karczewska	48
Jaki powinien być bilet wizytowy — N. J.	49
Poświęcenie kamienia węgielnego stacji jedwab- niczej — J. Kiewnarska	49
Co mówią kobiety — dr. H. Naglerowa	50
Ilość zawodowo pracujących kobiet w Polsce — L. Kozakówna	51
Walka o piękność — dr. M. Strzelecka	51
„Ład“ — J. Kiewnarska	52/53
„Jul“ — M. Dobrowolska	52/53
Szopka współczesna — J. Prazmowska	52/53
Nowoczesna choinka — J. S.	52/53

XX. DOBRE RADY

3, 5, 6, 8, 9, 10, 12, 13, 14, 15, 17, 19, 21, 22, 23,
25, 27, 28, 29, 30, 38, 45, 51

XXI. PRZEPISY GOSPODARSKIE

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 17,
18, 19, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32,
34, 35, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 45, 47, 48, 49, 50,
51, 52/53

XXII. KORESPONDENCJE

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 19,
20, 21, 3, 2 25, 28, 31, 38, 42, 44, 45, 47

XXIII. ARKUSZE WZORÓW

1, 2, 4, 5, 6, 7, 9, 10, 11, 13, 14, 15, 17, 18, 19, 21,
22, 23, 24, 26, 27, 28, 30, 31, 32, 33, 35, 36, 37, 39,
40, 41, 43, 44, 45, 46, 48, 49, 50, 52/53

XXIV. TABLICE KROJÓW

3, 8, 12, 16, 20, 25, 29, 34, 38, 42, 47, 51

XXV. NASZA MÓWNIKA

44, 48, 51, 52/53